

portugalia-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KORESPONDENCJA Z ZAGRANICZNYCH

wiedeń-

gomolicki
Zawilski-



TESTAMENT

F. BĄBOL

Reportaż...

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 2 (892)

9 STYCZNIA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Andrzej Makowiecki odbył dwumiesięczną podróż dziennikarską na Bliski Wschód, którą zrelacjonuje na łamach „Od-głosów” w cyklu reportaży. Roz-pocznamy od... Portugalii, gdzie autor przebywał w drodze na Bliski Wschód. „Avante, camaradas!” obrazuje nam sytu-ację w kraju, na który zwrócone są oczy całej Europy. Z kolei Konrad Frejdllich kontynuuje swój cykl publikacji o Austrii, gdzie przebywał jako stypendysta Mi-nisterstwa Kultury. „Kahlenberg” poświęcone jest kontaktom pol-sko-austriackim.

„Wzgórze Zamkowe i fabryka” Feliksa Bąbola to kolejny repor-taż z konkursu na opisanie Zie-mi Łódzkiej. Przedstawia rys historyczny i dzień dzisiejszy Sie-radza, w ostatnich latach dyna-micznie rozwijającego się mia-sta. Lucjusz Włodkowski nato-miast zajmuje się problemami związanymi z rekreacją i wypo-czynkiem na terenie m. Łodzi i województwa łódzkiego w ar-tykule „Zieleń, woda i koncepc-je”. Wbrew przeświadczeniom nie tylko z wodą i zielenią jest nie najlepiej, ale również z koncepcjami zorganizowania w-poczynku dla 800 tys. łodzian.

Z literatury polecamy naszym Czytelnikom fragment powieści Apoloniusza Zawilskiego „Tes-tament”, przygotowanej przez autora dla Wydawnictwa Łódz-kiego. W „Słowniku pisarzy łódzkich” prezentujemy sylwetkę twórczą Leona Gomolickiego.

Po numerze świątecznym, gdzie prezentowaliśmy naszych kandydatów na ŁODZIAN 1974 ROKU, dziś przypominamy ich nazwiska i drukujemy kupon plebiscytowy. Jeszcze raz ser-decznie zachęcamy naszych Czy-telników do udziału w plebiscy-cie, przypominając, że wśród wszystkich głosujących roz-losujemy nagrody. Czekamy więc na dalsze listy z Waszymi pro-pozycjami.



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZIELEŃ, WODA i KONCEPCJE

CZYTAJ NA STRONIE 3

KAHLENBERG

W centrum Wiednia, w tej ciasnej obrączce Ringu, pomiędzy katedrą Św. Stefana a naddunajskim kanałem znajduje się uliczka Greeka, co brzmi po niemiecku Griechengasse. Zaułek jakby stworzony dla malarzy, zwłaszcza w porze południowej, gdy słońce operuje światłocieniem znaczącą patynę murów jasnymi refleksami i wydobywa spod nawarstwionego, brudnego tynku ślady tajemnej przeszłości. Jest tam osobliwy dom, jaki spotkać można chyba tylko w bardzo starych miastach: połączenie kaplicy z restauracją ciągnącą się piętrami w dół. W bramie prowadzącej na dziedzińce zatopione w murze kamienne kule armatnie, pamiątka po natarciu artylerii tureckiej, która bombardowała miasto w XVII wieku. Te wyszczerbione kamienie uprzytomniły mi nagłe na-sza, datująca się od lat trzystu, obecność w Wiedniu, wtedy cesarskim a dziś stolicy republiki, która wytrwała ze szponów habsburskiego orła miecz i jabłko świata zamieniając je na sierp, młot i rozerwany łańcuch.

Nie tak nie pobudza wyobraźni jak symbole przeszłości, toteż stanął mi natchnieniem przed oczami pochód konnicy Sobieskiego, która pośpieszyła na od-siecz Wiedniowi. Historycy tamtych lat pozostawili wiele przekazów bitwy, zo-stawił je także sam Sobieski, który ze szczytu Kahlenbergu oglądał wspaniały obóz turecki rozłożony pod miastem na równinie Schmelzu. Zwycięski król pi-sał do żony:

„Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie sły-szały. Działa wszystkie, obóz wszystkie, dostatków nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjacieli, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji...”

Pisał także:

„Mam wszystkie znaki jego wezbrania (mowa o Kara Mustafie — K.F.), które przed nim noszą chorągiew mahometan-ską, która mu dał cesarz jego na wojnę i która dziś że jeszcze posiadam do Rzymu ojców świętym...”

Dalszy ciąg na str. 5

ANDRZEJ MAKOWIECKI

AVANTE CAMARADAS!

(KORESPONDENCJA Z PORTUGALII)

Byłem w Lizbonie w końcu listopada siedemdziesiątego czwartego roku. Kiedy po raz pierwszy wyszedłem na ulicę, miasto okrywał całun gęstej i lepkiej mgły. I o ósmej rano panowały jeszcze ciemności. Wszystkie samochody jeździły na długich światłach, płonęły latarnie, od portu raz po raz dało się słyszeć ostrzegawcze buczenie statków. Obserwowałem zaferowany i zdyszany początek dnia — tysiące śpieszących do pracy ludzi, beznadziejne korki na jez-dniach, tłok na przystaniach ferry, która krąży pomiędzy dwoma brzegami Tagu, tłok na przystankach tramwajowych i autobusowych. Autobusy są tu piętrowe i na zakrętach napawają człowieka lękiem; tramwaje natomiast składają się zazwyczaj z jednego żółtego wago-nu, który po torach, równie wąskich jak w Łodzi, pnie się stromymi, ciasnymi

uliczkami w głąb miasta, przewożąc za-równo pasażerów legalnych jak i ucze-pione zderzaków winogrona. Zatem we mgłę i szarość poranka jest tu swojsko. Wkrótce jednak mgła opada, wychodzi słońce, robi się gorąco — można zdjąć marynarkę i zobaczyć wreszcie cztery symbole Portugalii: pomnik Zdobycy Morza, Most Salaza-ra oraz — w innej części miasta — mury zamku Świętego Jerzego. W przewodnikach turystycznych Most Salazara nie zmieniał nazwy. Jest to gest zwycięzców wobec zwyciężonych, gest dziwny i kontrowersyjny, jak wszyst-ko, co zdarzyło się w tym kraju ostatnimi czasy. Najpierw był bezkraw-ny przewrót i do władzy doszła demo-kracja, później, kilka zaledwie tygodni temu nastąpił nieudany, szybko rozbity

kontratak „milszającej większości”. Po-stępowi politycy, którzy podczas marszu na Lizbonę mieli zginąć — żyją, ale ży-ją również ci, którzy mieli być ich mordercami. Konwencja walki w bia-łych rękawiczkach nie została, jak do-tych pogwałcona, chociaż w przypadku kolejnej zmiany warty na pewno pole-ciałaby głowy... Jak wytłumaczyć łagodny stosunek rządu do faszystów? Mój przyjazd do Lizbony poprzedzały wieści, że na murach miast toczy się bezpardonowa wymiana zdań pomiędzy siłami opozycji a ugrupowaniami re-wolucyjnymi. Nie mogę tego potwier-dzić. Czytana z murów kronika Lizbony, która o układzie sił i nastrojach spo-łecznych mówi znacznie więcej, niż jakakolwiek gazeta, przedstawia się zaskakująco... W dziedzinie kultury naj-

częściej spotykanym afiszem jest re-klama występów radzieckiego zespołu ludowego „Krasnojarsk”. Reklamuje się także „Egzorcyste” — jeden z najgorszych filmów ostatnich lat oraz portugalską corridę, w czasie której byk bawi się z koreadorem w ciuciu-babkę i wcale nie musi zginąć. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że portu-galska wersja corridy jest proroczym kontrapunktem... Pozostało jeszcze na murach sporo plakatów przedstawiają-cych żołnierzy, którzy trzymają w ręk-ach ukwiecone karabiny. Tak czy owak — poza „Krasnojarskiem”, „Egzor-cystą”, corridą i ukwieconymi karabi-nami, wszystkie pozostałe afisze, rysun-ki, napisy, transparenty i ulotki niosą już wyłącznie treści ultralewicujące. Przybywasz z socjalistycznego kraju jest zaszokowany — nigdy w życiu nie wi-dział tak gwałtownej i namiętej pro-pagandy. Sierp i młot jest wszechobec-ny, pokrywa każdy metr kwadratowy murów, spotyka się go na zabytkowych kościołach, muzeach, zamkach, pomni-kach, na frontonach urzędów i mini-sterstw, na bogatych kamienicach i biednych domkach przedmieścia, na

Dalszy ciąg na str. 4

WIEDZA O TRZYDZIESTOLECIU

Niednemu z ludzi biorących czynny udział w życiu politycznym...

Tę potrzebę wychodzi naprzeciw nowo wydana książka Władysława Góry...

A jednak walor przyczynowości ujęcia i logika w przedstawieniu związku przyczynowo-skutkowego...

Pewnie znają te sprawy czytelnicy, którzy się akurat tak kwestią interesują...

mień: sytuacja militarna na froncie wschodnim w przeddzień wybuchu Powstania Warszawskiego...

Choć książka dość skąpa w zasadzie w komentarz, choć nie osiąga on publicystycznego wymiaru...

Skoró już mowa o „jubilejskim okresie”, w odniesieniu do którego zbyt często spotykamy...

Omawianie książki tym trybem — bez przyłączania z niej przykładów...

Są to chyba kwestie najgłębiej ujęte, ale może właśnie dlatego, że w tej części pracy...

Jeśli można by książkę określić jako kompendium wiedzy politycznej o trzydziestoleciu Polski Ludowej...

JERZY KWIECIŃSKI

Władysław Góra „Polska Rzeczpospolita Ludowa 1944-1974”, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1974, str. 565, cena 70 zł.

KUPON KONKURSOWY

WACŁAW BILIŃSKI
HENRYK CZYŻ
KAROL DEJNA
MICHAŁ GAŁKIEWICZ
ZDZISŁAW HAS
JADWIGA HRYNIEWIECKA
MICHAŁ KUNA
WITOLD MILLO
LESZEK SKRZYDŁO
WITOLD ZATORSKI

IMIĘ I NAZWISKO
ADRES
ZAWÓD

ŁODZIANIE 1974

Do naszej redakcji wpłynęły już pierwsze kupony konkursowe, stanowiące potwierdzenie popularności tegorocznego plebiscytu „Łodzianie 1974”.

Każdy ma prawo, zakreślając znak X obok nazwisk kandydatów, wybrać trzech spośród dziesięciu zaproponowanych przez redakcję prezydentów do tytułu Łodzianina Roku.

NAGRODA I — RADIOOBIORNIAK TRANZYSTOROWY
NAGRODA II — APARAT FOTOGRAFICZNY
NAGRODA III — ZEGAREK NA RĘKĘ

oraz 5 wyróżnień książkowych. Nagrody te zostaną rozdane wśród wszystkich czytelników...

Drogi Czytelniku, jeśli z jakichś powodów nie wysłałeś do nas jeszcze swego kuponu plebiscytowego...

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze „Odgłosów” (1/75) na str. 10 opublikowaliśmy wiersze Mieczysława Michała Szargana.

Tak mi nie na rękę jego nagła śmierć ta trumna z lasu sosnowego ten dzwon bijący sercem jak żelazną grudą...

Za tę przykrą pomyłkę przepraszamy Czytelników i Autora.

APETYT NIE TYLKO na ILOŚĆ

Zdania są tutaj podzielone i nie ma co ukrywać, że dla niektórych owe porzekadło o apetycie...

Wypada się nam jednak zastrzec: apetytu nie kojarzymy bezpośrednio z konsumpcją, nie chodzi nam tutaj o zaprezentowanie spraw z tym związanych...

Właściwie to daje się on sprowadzić do następującego stanowiska: wszystkie nasze problemy...

równowagi rynkowej, to znaczy z zachowaniem właściwej proporcji między wielkością masy towarów...

Otóż, jest to z pewnością nie tylko daleko idące uproszczenie, ale i błędne przekonanie. Na „świadka” można tutaj powołać sytuację...

Takich przykładów popierających tezę, że ilość jest tylko jednym z wielu czynników, determinujących prawidłowe zaspokojenie społecznego apetytu...

Abymy jednak byli w zgodzie z prawdą, z rzeczywistością, z odczuciem społecznym, to trzeba też powiedzieć, iż w pewnych dziedzinach mamy ciągle do czynienia jeszcze z przewagą czynnika ilościowego...

walskiego, który z jednej strony dysponuje określoną kwotą złotych, a po wtóre ma już po dziurki w nosie trzydziściowej „garderoby”.

Już tylko z przytoczonych przykładów widać, że problem „apetytu” i podaży jest zagadnieniem bardzo złożonym...

Tak, niewątpliwie. Jak to jednak słusznie stwierdza „Żywiec Warszawy”...

Nabywcy pragną wyrobów dobrej jakości o wysokich parametrach jakościowych i estetycznych. Tak to już jest i zjawisko rynku...

cesach ekonomicznych stają się te czynniki, u których podstawa leży wysoka jakość.

Jesteśmy ludźmi, społeczeństwem, które traktuje gospodarkę ze wzniosłością ideową jako wspólną własność...

Słowem — z całym honorami traktując problem ilościowego wzrostu, jeszcze bardziej uważać wypada nam zwrócić na sprawę jakości...

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ SIOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).

Poprawić warunki życia i pracy współczesnego człowieka, zmieniać je na lepsze z myślą o potrzebach najbliższych dziesięcioleci, to nie tylko budować nowoczesne osiedla mieszkaniowe i nowoczesne fabryki, nie tylko wprowadzać do tych fabryk maszyny wyrzucające ładną pracę, to również troszczyć się o warunki racjonalnego wypoczynku ludzi.

W 1974 roku mieliśmy 6 wolnych sobót. W 1975 będziemy ich mieli 12. Poza tym w niektórych łódzkich fabrykach przemysłu lekkiego wolną jest co trzecia sobota. Czas wolny od pracy wzrasta powoli, ale systematycznie.

Następuje też powolny, ale systematyczny rozwój motoryzacji. Przewiduje się, że w 1990 roku w Łodzi na każdy tysiąc mieszkańców przypadać będzie od 200 do 250 samochodów osobowych, a na obszarze Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej — od 140 do 160 samochodów osobowych. Można też założyć, że w tym czasie w Polsce obowiązywać będzie pięciodniowy tydzień pracy, a także, że dzień pracy zmniejszy się do 7 godzin.

Wzrost czasu wolnego od pracy, rozwój komunikacji masowej i motoryzacji, musi nieuchronnie spowodować zainteresowanie różnymi formami wypoczynku. A więc do tego czasu to wszystko co rozumiemy pod pojęciami wypocznik, rekreacja, turystyka powinno stać się ważną dziedziną gospodarki, powinno stać się przemysłem. Radykalnej zmiany musi ulec koncepcja tej dziedziny naszego życia. Inaczej nie podotamy rosnącym zapotrzebowaniom, tym bardziej, że poziom, z jakiego wychodzi nam startować do realizacji przyszłych zamierzeń, jest niewspółmiernie niski.

1.

Zeszłoroczne lato mieliśmy podle, ale przecież możemy przypomnieć sobie słoneczne niedziele z lat poprzednich i przypomnieć tłumy ludzi w Parku Ludowym na Zdrowiu, w Arturówku, lesie Lagiewnickim, w Spale, Uniejowie, Sieradzu czy Sulejowie. Możemy przypomnieć tłok w podmiejskich tramwajach, autobusach „zielonych linii”, w pociągach podmiejskich PKP, tłok w restauracjach, barach, pustę skrzynek po oranżadzie i wódce sodowej przed kioskami.

Tłok w ośrodkach wypoczynkowych Łodzi i województwa łódzkiego sład się bierze, że więcej jest chętnych do wypoczyniania niż te ośrodki mogą przyjąć. W 1970 roku województwo łódzkie mogło jedynie w 17 proc. zaspokoić potrzeby wypoczynkowe Łodzi i miast województwa.

Łódź dysponuje obecnie trzema kąpieliskami i jedenastoma pływalniami. W słoneczne, pogodne niedziele lata wszędzie tam panuje niezwykły tłok. Las Lagiewnicki z Arturówkiem może jednorazowo pomieścić 15 tys. osób, a wypoczywa tam około 40 tys. osób. „Anilana” obliczona jest na tysiąc osób, a przybywa tam w ciągu pogodnej niedzieli około 5 tys. osób.

Podobnie jest w ośrodkach wypoczynkowych województwa łódzkiego. SULEJÓW może jednorazowo przyjąć 6 tys. osób na niedzielę, a przyjeżdża tam dwa razy tyle. Podobnie jest w SPALE, gdzie poza stałymi czasowcami może na niedzielę przyjechać 1,5 tys. osób, a przyjeżdża dwukrotnie tyle. Tak samo w UNIEJOWIE, GROTNIKACH, SIERADZU i innych.

Porównanie więc stanu obecnego z potrzebami, jakie już dziś występują i jakie rysują się na przyszłość, a które za kilka lat staną się realną rzeczywistością, nie nasrąja optymistycznie. Zważywszy nawet na to, że w Biurze Projektowania Rozwoju Łodzi opracowano koncepcję rekreacyjnego wykorzystania niektórych terenów Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej,

2.

Obszarem rekreacyjnym dla mieszkańców północnego rejonu Łodzi staną się las Lagiewnicki i las Chelmski. Las Lagiewnicki postanowiono uchronić przed nadmiernym zabudowaniem, projektując się parkingów i urządzeń rekreacyjnych na jego obrzeżach. W części wschodniej i północnej lasu Lagiewnickiego mają powstać urządzenia dla sportów zimowych. W zachodniej części powstaną domy wypoczynkowe. Południowa, położona najbliższemu miastu, przeznaczona będzie na czynny wypocznik letni. W centrum lasu pozostanie tylko Arturówek, z tym, że nie będzie się go rozbudowywać, a jedynie uzupełni się oraz zmodernizuje istniejące tam wyposażenie.

O Parku Ludowym na Zdrowiu pisano już wiele, informując opinię publiczną o planach przekształcenia go w park kultury i wypoczynku. Przypomnijmy tylko, że obok istniejącego tam ZOO powstaje — w czynie społecznym — Ogród Botaniczny, że planuje się zlokalizować tam Muzeum Sztuki, a na obrzeżach parku baseny, tor dla gokartów, baseny kąpielowe i lunapark. Realizacja tego projektu ma być ukończona do 1990 roku. Las na Zdrowiu ma powiększyć się z 200 ha do 600 ha, a projektanci widzą możliwość powiększenia go do 800 ha. Dogodność połączeń komunikacyjnych — i tych już dziś istniejących i tych,

które projektuje się — spowoduje, że będzie to teren uczęszczany zarówno przez mieszkańców śródmieścia, jak Teofilowa i Retkini, a także miast ŁAM z zachodniej jej części.

Mieszkańcy wschodnich i południowych dzielnic Łodzi dysponują dziś ośrodkami wypoczynku w parku I Maja (Stawy Jana) na Chojnach i w parku im. Trzydziestolecia na Młynku. W przyszłości będą oni korzystali z dalej położonych ośrodków wypoczynkowych, a mających powstać w dolinie rzeki Mrogi, a także z obszarów leśnych położonych między Andrespołem, Kuluszkami i To-

ściejsze warunki. I tak dla przykładu w rejonie ochrony krajobrazu Kolumna — Dłutów — Tuszyn obszar wokół Kolumny, wzbogacony o zbiornik wody na rzece Grabi, przeznaczony jest pod ośrodki wczasowe i wypoczynkowe. Obszar Dłutowa — tereny leśne. Tuszyn i okolice stanowią będą tereny sanatoryjne i wypoczynkowe. Podobny charakter będą miały Grotniki.

Warto tu przypomnieć, że już od dawna istnieje koncepcja urzędników ośrodków sportów zimowych w Smardzewie. Koncepcja ta jest jednak zbyt opieszała realizowana. Na szczęście zimy nam folgują, brakuje śniegu, a ślizgać się można tylko na sztucznym lodzie w Hall Sportowej.

Planiści założyli, że około 1990 roku 80 proc. mieszkańców Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej będzie wypocznikami w obrębie ŁAM, natomiast 20 proc. — będzie musiało szukać dla siebie wypoczynku poza tym obszarem. Założyli oni, że na wypocznik

wykorzystaniem. Różnica, między Zalewem Sulejowskim a Zalewem Jeziorskim polega nie tylko na tym, że ten drugi jest większy, ale przede wszystkim na tym, że podstawowym zadaniem tego pierwszego jest umożliwienie dostawy wody do Łodzi, a ten drugi przeznaczony dla potrzeb rolnictwa nie będzie nastroczał tylu kłopotów z rekreacyjnym wykorzystaniem, ile nastrocza Zalew Sulejowski.

3.

Projekt przestrzennego rozwoju Łodzi, Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, województwa łódzkiego uwzględnia rekreacyjne i turystyczne potrzeby przyszłych jego mieszkańców i wyznacza tereny dla budowania ośrodków wypoczynkowych. Pozostaje teraz do rozstrzygnięcia sprawa koncepcji. Pozostaje odpowiedź na pytanie: jakie to mają być ośrodki?



maszowym Mazowieckim. Natomiast dla całego południa Łodzi zaprojektowano układ zbiorników retencyjnych na Nerze i Dobrzynce, do którego włącza się kąpielisko w parku I Maja. Przyszłe zalewy mają powstać w Gospodarzu, Rzgowie i Charzewcu. Przy czym lustro wody na Zalewie Charzewskim ma wynieść około 160 ha. Wody do tych zalewów dostarczać będzie nie tylko spłetrzony Ner — czy również Dobrzynka, jak to ma mieć miejsce w przypadku Zalewu Charzewskiego — ale też pewne nadwyżki wody z rozbudowanego rurociągu Sulejów — Łódź. Jednakże zbiorniki te nie będą mogły służyć do kąpeli, a przeznaczone będą tylko na uprawianie sportów wodnych.

Na obszarze Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej projektanci wytyczyli trzy strefy ochrony krajobrazu:

- Grotniki — Sokolniki o powierzchni 26,6 tys. ha
- Kolumna — Dłutów — Tuszyn o powierzchni 26 tys. ha
- Andrespol — Kuluszki — Tomaszów Mazowiecki o powierzchni około 10 tys. ha.

Te strefy ochrony krajobrazu będą jednocześnie terenami rekreacyjnymi. Ich przyszły charakter określają dzi-

otygodniowy, czyli na weekendy wyjeżdżać będzie jednorazowo około 680 tys. osób, a na urlopy i wczasy do ośrodków wypoczynkowych położonych w pobliżu Łodzi — około 60 tys. osób. Można mieć nadzieję, że do 1990 roku nie zniknie zwyczaj wyjazdów na urlopy w góry, nad morze, nad jeziora czy do atrakcyjnych miejscowości zagranicznych, a przeciwnie — dzięki motoryzacji — jeszcze się rozwinie. Będą jednak i tacy, którzy będą chcieli lub musieli z różnych powodów odpocząć blisko swego stałego miejsca zamieszkania. I to właśnie będzie ta szacunkowo ustalona liczba 60 tys. osób.

Co z pozostałymi? Co z około 680 tys. osób, dla których trzeba przygotować warunki dla odpoczynku? I jak wielką trzeba wykonać pracę, zważywszy, że obecnie w Łodzi i w województwie istnieje możliwość wypoczyniania dla 120 tys. osób, z których korzysta około 270 tys. osób?

Do tego czasu — miejmy nadzieję — rozwiązany zostanie problem rekreacyjnego zagospodarowania terenów wokół Zalewu Sulejowskiego na Pilicy, a także w miarę budowy zbiornika wodnego „Jeziorsko” na Warcie rozwiązywać się będzie problemy związane z jego rekreacyjnym

Jeśli wiemy, gdzie powstaną ośrodki wypoczynkowe, to musimy też wiedzieć, jakie one będą. Moim zdaniem spraw tych nie można traktować rozdzielnie. Startujemy w przyszłość turystyki i wypoczynku z pozycji „jakichś”. Startujemy jednakże w przyszłość z koncepcją przestrzennego rozwoju ośrodków wypoczynku, ale bez koncepcji organizacyjnej. Przede wszystkim o sprawach turystyki i wypoczynku nie myśli się jako o ważnej gałęzi gospodarki.

Socjalistyczne przedsiębiorstwo obok swoich podstawowych funkcji produkcyjnych w coraz większym stopniu spełnia też funkcje społeczne. Wiele zakładów buduje ośrodki wypoczynkowe, starając się organizować w ten sposób wypocznik dla swoich pracowników. Ale to jest dopiero pierwszy krok. Budowane wielkim nakładem kosztów i sił domy wypoczynkowe niektórych zakładów nie są wykorzystywane przez cały rok. Z drugiej strony wiele hoteli i pensjonatów wykorzystuje się na seminaria i konferencje. Sytuacja taka rodzi wśród specjalistów postulat powołania regionalnych administracji dla zarządzania wszystkimi domami wypoczynkowymi, znajdującymi się na danym terenie, z takim zastrze-

żeniem, że ich prawowici właściciele powinni mieć zagwarantowane prawo do korzystania z nich według własnych, realnych potrzeb. Można byłoby w ten sposób bardziej skutecznie wykorzystywać w okresach posesonowych domy wczasowe czy wypoczynkowe zakładów pracy — właśnie na konferencje i seminaria, zwalnając tym samym miejsca w hotelach dla turystów. Posiadamy przecież wyspecjalizowane przedsiębiorstwa turystyczne, które mogłyby zająć się pełnieniem i takiej roli.

Mogłoby to być tym bardziej z pożytkiem, gdyby te przedsiębiorstwa koordynowały również działalnością samowystarczalnych ośrodków wypoczynkowych, nie podlegających żadnym zakładom pracy, pracującym na własnym rozrachunku. Takie samodzielne przedsiębiorstwo — ośrodek wypoczynkowy — powinien dysponować hotelem, zespołem gastronomicznym, polem campingowym skanalizowanym, z wodą bieżącą, gazem, parkingami. W sumie powinien on móc zapewnić w sezonie nocleg dla 700—800 osób. Wydaje się, że istnieje potrzeba tworzenia również dobrze wyposażonych pól campingowych, współpracujących z ośrodkami wypoczynkowym, położonych w jego niedalekiej odległości, a przeznaczonych dla tych, którzy chcieliby odpoczywać z dala od zgęszczań większych skupisk ludności. Taki ośrodek wypoczynkowy powinien dysponować dobrze zaopatrzoną wypożyczalnią sprzętu sportowego i turystycznego, a także zespołem usług podstawowych.

Już dziś można przewidzieć, że w ostatnich latach XX wieku wyłoni się problem relacji między wypoczynkiem organizowanym przez przedsiębiorstwa, a więc wczasami zakładowymi, wczasami i wycieczkami organizowanymi na zamówienia przedsiębiorstw, wycieczkami organizowanymi przez zakłady pracy, a formami indywidualnej organizacji wypoczynku. W jakim stopniu ludzie, dysponujący zwiększonym wolnym od pracy czasem, dysponujący znacznie większymi możliwościami podróży, a także w większym stopniu niż dziś samochodami będą chcieli korzystać z tego, co im proponuje zakład pracy, a z tego, co mogłoby sobie sami zorganizować? Niewątpliwie, że wówczas komórki społeczne będą proponowały ludziom inne niż dziś formy wypoczynku zbiorowego. Ale aby tak było, potrzeba, żeby w tych komórkach znaleźli się ludzie dysponujący niezbędną wiedzą na temat zasad organizacji turystyki i wypoczynku. Takich ludzi nie mamy i dlatego dobrze byłoby pomyśleć o ich kształceniu.

Rozmawiałem niedawno w łódzkim PTK na temat przygotowania kadr dla turystyki i wypoczynku. Padła w czasie tej rozmowy propozycja, aby już obecnie w zakładach pracy, które zatrudniają przeszło 500 osób przygotować jednego pracownika do pełnienia roli organizatora wypoczynku i turystyki. I aby było to działanie oparte nie na dobrej woli dyrekcji, nie na zasadzie hobby tego pracownika, ale w oparciu o racjonalne spełnienie jednej z funkcji socjalistycznego przedsiębiorstwa, w oparciu o jego program socjalnych świadczeń dla pracowników.

4.

W koncepcji przestrzennego rozwoju Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej wzięto również pod uwagę przyszłe zapotrzebowanie na „drugie mieszkani”. Podróżując niedawno po NRD widziałem — pokazywane mi z dumą — rejon przeznaczone pod „dace”. Takie same rejonu można spotkać z CSRS, gdzie idea „drugich mieszkań”, mogących pełnić swą rolę przez rok cały, jest szeroko rozpowszechniona. Rosyjskie dace są znane od dawna. My nie mamy takiego zwyczaju, nie mamy ku temu warunków. Należy jednak przewidywać, że taka potrzeba powstanie w miarę poprawy warunków życia, w miarę wzrostu zamożności społeczeństwa.

Planiści wzięli tę ewentualność pod uwagę i na przykład w strefie ochrony krajobrazu Kolumna — Dłutów — Tuszyn na obszarze Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej wyznaczono w rejonie Kolumny tereny pod przyszłe „drugie mieszkania” — domy weekendowe mogące pełnić swą rolę przez rok cały. Takie same rejonu wyznaczono w innych częściach ŁAM, jak i poza jej obszarem.

W tym wypadku wydaje się, że planiści wykazali dużą dozę racjonalnego myślenia o przyszłości, choć do realizacji tego zamierzenia brakuje jeszcze i warunków i wielu elementów. W tym roku zapadną dopiero decyzje, co do planów na następne pięćdziesiąt, do lat 1976—1980. Za lat kilka przyjdzie konkretnie już myśleć o latach 1981—1985. Do 1990 roku czasu — wbrew pozorom — nie pozostaje tak znowu wiele. Trzeba więc myśleć o dniu dzisiejszym myśleć i o przyszłości, trzeba szukać takich rozwiązań na teraz, aby mogły być pomocne jutro. A w sprawach wypoczynku i turystyki — przede wszystkim.



Fot. Archiwum

platach cementarnych, dworcach, drzwiach restauracji i kawiarni. Uważa na obserwację ludzi, jednak poważnie niepokoi. Chociaż zżyma się w oczy brak jakiegokolwiek odporu propagandy reakcyjnej, zduszonej, wymazanej, całkowicie usuniętej z walki, frontu lewicowy jawi się jako poligon kontrastowych przeciwieństw. Z jednej strony twarze Marksa i Lenina, a także Stalina, z drugiej wizerunki Mao. Z jednej odezwy domagające się przyznania i współpracy ze Związkiem Radzieckim, z drugiej naiwne w treści i rysunku agitki na rzecz Chin Ludowych. Z jednej bratersstwo interesów pomiędzy komunistami Portugalii i Francji, co na plakatach obrazują dwie zaciśnięte pięści, z drugiej jakaś dzwona uśmiecha o konieczności współdziałania z narodem albańskim. O ile te pierwsze charakteryzują się umiarem w treści i plastyczny sposób pokazują, co należałoby zrobić ze spadkobiercami faszystowskich idei, a również z wszelkimi innymi „opozycjonistami”. Salazar ukazywany, Spínola wiszący, wielu działaczy demokratycznych, socjalistycznych i komunistycznych pomówionych o zdradę. Gromady Portugalczyków maszerują na owych plakatach ramie w ramie ze skończonymi obryzami, niszcząc po drodze wszystko, co ma jakąś więź z przeszłością i kulturą.

Mario Soares, minister spraw zagranicznych Portugalii, a także przywódca Portugalskiej Partii Socjalistycznej, powiedział w wywiadzie prasowym:

„Sa rzeczywiście w Portugalii młodzi ekstremisci lewicowi, którzy pragną przeszkakiwać etapy. Dążą do natychmiastowej zmiany struktur społecznych. W ich pojeściu te zmiany winny mieć charakter marksistyczny. Ale partię związaną z klasą robotniczą, to znaczy partię socjalistyczną i partię komunistyczną, wystąpiły przeciwko tym hasłom. Nie sądzę zresztą, żeby ci młodzi ludzie reprezentowali wielką siłę w Portugalii. Mają pewne wpływy w środowiskach intelektualnych, a także wśród studentów. Natomiast ani wśród klasy robotniczej ani w środowiskach wiejskich nie mają oni większego wpływu. Nie chciałbym, aby uważano, że występują przeciwko lewacko. Nie są oni naszymi wrogami; nawet jeśli się z nami nie zgodzą, nawet jeśli ich analiza sytuacji, w Portugalii nie jest zgodna z naszą. Bowiem naszymi rzeczywistymi wrogami są reakcyjni faszysti, którzy jeszcze przebywają w Portugalii. Z nimi właśnie musimy walczyć (...). Partia komunistyczna jest dziś wielką, dobrze zorganizowaną siłą polityczną. Wraz z nami, socjalistami i demokratycznym centrum, komunistami wchodzi w skład rządu koalicyjnego. Oczywiście, że między nami są różnice, ale gdyby ich nie było, istnienie dwóch partii byłoby niecelowe. Jesteśmy to różnorodni marginaliseci, gdyż w sprawach generalnych, dotyczących przyszłości kraju, nasze punkty widzenia są zbliżone.”

Jest to trafny obraz sytuacji politycznej kraju. „Milicja większość” zaszła po wrześniowej porażce do podziemia i w porównaniu z tendencjami postępowymi stanowią obecnie „przeważającą mniejszość”, której nikt nie specjalnie nie boi. Lizbończycy całkiem otwarcie deklarują sympatię i orientację usiłowuje. Na wielu oknach prywatnych

niezłakną można przeczytać: JESTEM SOCJALISTA — JESTEM KOMUNISTA — NIENAWIDZĘ FASZYSTOWSKICH BANDYTÓW. Prowincja przemawia tym samym tonem. Jadąc do Sinyry, letniej rezydencji królów, wszędzie spotykalem podobne oświadczenia, a pałace monarchów również były ozdobione rewolucyjnymi hasłami.

Na wystawach wielkich księgarni stolicy eksponuje się wydanie do niedawna dzieła Marksa i Lenina, książki i broszury o treści antykolonialnej, biografie Guevary, Lumumby, Castro i innych bohaterów trzeciego świata. Kiedy na trybunach stadionów sportowych pojawia się podpułkownik Vasco Santos Goncalves (jeden z przywódców kwietniowego zamachu stanu, a obecnie, w miejsce chwilejnego Palma Carlosa, premier rządu), wielotysięczna widownia wstaje i podziewa go pieśnią portu-

żeniem oka, z dystansem podsytkowanym świadomością, że jest to tylko zabawa.

— Nasze gratulacje — powiedziałem do kelnera.

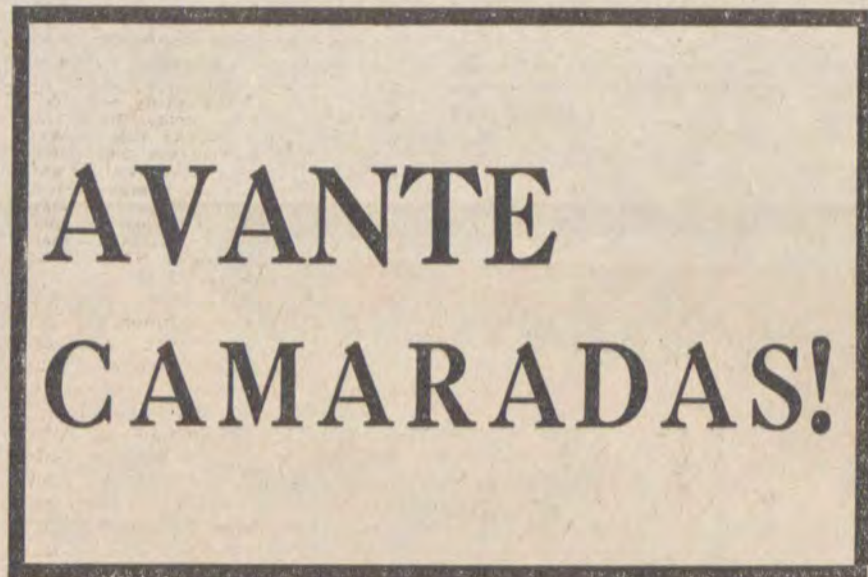
Podał mi na pożegnanie rękę i powtórzył ze smakiem: — DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA PORTUGALII.

W innej ekskluzywny kawiarni, nie opodal placu Comercio, przeprowadzilem najdziwniejszy z moich zagranicznych dialogów. Kilku młodych ludzi przysiadło mi się bacznie nad książką i gazetę. Słysząc, że zamawiam po angielsku mleko, które podaje się tutaj w wysokich szklankach z lodem, albo na gorąco, z cukrem i dużą domieszką wody, jeden z nich przysiadł się do mnie i zapytał:

— Skąd jesteś, towarzyszu?

— Z Polski.

— A, z Polski — i napuścił się z



dobrze udaną pogardą. — Z burżuazji...
— Z jakiej znowu burżuazji, człowieku. — I jeszcze raz wyraźnie powiedziałem: — Z Polski!

— O key, z Polski, Polska to jest teraz burżuazja. Lodówki, telewizory, flaty, handel z Zachodem, współpraca z Ameryką. Nie powiesz chyba, że to jest prawdziwy komunizm.

Bylem zdruzgotany. Ten młody, dwudziestoparolatni człowiek miał na sobie najmodniejsze ze wszelkich możliwych garniturów, nieskazitelną białą koszulę, welniany krawat przetykany brylantową spinką. Ten człowiek o nerwowej, smagłej twarzy i natartych jakas maźlą, czarnych, krótkich, gładko uczesanych włosach, wyglądał jak syn bankiera, wypuszczony łaskawie na godzinę przedchadzke po mieście. A przecież — nie miałem wątpliwości — był to jeden z tych, którym śni się po nocach miszeczka ryżu i tłusty uśmiech wujka Czou-en-laj.

Trudno zaprawdę zrozumieć ten wspaniały kraj — tak długo uciekały, tak łatwo wywalajacy się z uścisku, tak głęboko pragnący coraz to innych zmian i tak bardzo — mimo wszystko — spo-

galskich komunistów: Avante, camaradas! Wpływające do portu bandery krajów socjalistycznych witane są przez dokerów podniesionymi do góry rękami.

Portugalczyki są narodem powściągliwym i dumnym, ale bynajmniej nie ponurym. Kiśoroś wieczoru w towarzystwie polskiego lekarza weszłem do kawiarenki przy ulicy Sapateiros. Tłum ludzi w różnym wieku stał przed umieszczonym nad drzwiami telewizorem. Ucieszyłem się, że zobacze corridge, ale na ekranie ukazał się pilkarze.

— Co to za mecz? — zapytałem kelnera, który przerwał na jakiś czas działalność usługową.

— Chodźcie, chodźcie! — powiedział. — To jest bardzo ważny mecz!

— Ale kto z kim?

— Anglia z Portugalia. — I zaraz z dumą poprawił: — DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA PORTUGALII.

Wysparze, będący gospodarzami spotkania, zdołali zaledwie zremisować. Kawiarzani tłum przyjął końcowy rezultat z uznaniem, ale bez euforii. Pilkarze jak pilkarze — padali sobie w objęcia (jeden płakał), natomiast odbiorcy (transmisji patrzyli na to z lekkim przymru-

kości. Czuję w tym momencie, jak rzeczywistość klęci mi się z tworzywem reportażu. Najprościej i najlogiczniej byłoby napisać, że to, co można znaleźć w formie hasel i ulotek, na murach, ma również swoje adekwatne odbicie w życiu. Ale każdy, kto był w Lizbonie, wie, że jest inaczej. I nieuczucie było to przemilczeć. W afrykańskich koloniach Portugalii toczy się prawdziwa walka, padają zabici i ranni, zmienia się rządy, trwają pertraktacje i dyskusje pomiędzy tymi, którzy chcą przejąć władzę i tymi, którzy pragną się jej pozbyć, natomiast sytuacja w samej Portugalii, pomijając oczywiście rozdziewki na murach, wydaje się dość stabilna.

I chyba dobrze, że tak jest. Trudno uwierzyć, że mogłoby się cośkolwiek zmienić w niekorzyść demokracji. Trudno uwierzyć, że mogłyby wrócić rządy faszystów, albo zacząć się rządy skrajnych lewaków. Kraj ciężki ku socjalizmowi w szybki i mądry sposób, i kto wie, co by się stało, gdyby jego położenie geograficzne było trochę inne. Kto wie zresztą, co przyniosą najbliższe lata w korystaniu dzielącym Portugalie od Europy wschodniej — Hiszpania także zaczęła się burzyć. Francja była w tym roku o krok od triumfu lewicy, i to, co jeszcze się nie stało, wydaje się tylko kwestią czasu. Portugalczyki są świadomi tych zmian i swojej siły.

I tu właśnie leży odpowiedź na pytanie, dlaczego w Portugalii zwyciężców stać na gest wobec zwyciężonych. Nie ma plutonów egzekucyjnych ani pokazowych procesów. Ulice tętnią swoim normalnym pulslem — żadnych bojów, ekscesów, wieców, okrzyków. Z drugiej strony — wicherzylice zostali przez rząd starannie wyizolowani. Superprawa partia nacjonalistyczna uległa likwidacji, zamknięto faszystyczny organ prasowy „Tempo Novo”, zwolniono wszystkich czołowych redaktorów pism, które pozostawiały kiedyś na usługach reżimu. Każdy, kto pracuje dzisiaj w gazecie, radio, albo telewizji, reprezentuje orientację komunistyczną. Brak jest śmiółków, którzy zdecydowaliby się wystąpić jawnie przeciwko socjalistycznym tendencjom. I nastroje te obejmują z wolna sferę przemysłu. Zamknięto kilka fabryk, neutralizowano poczynania wielkich monopoli, które się rzeczy spręczały się z nowym porządkiem, znacznie rozszerzono dotychczasową wymianę handlową z państwami socjalistycznymi.

Portugalia, tak do niedawna obca i odległa, stała się nagle nam, Polakom, bardzo bliska. Póki co, nie ma tu jeszcze naszej ambasady, konsulatu, czy choćby jakiegokolwiek handlowego przedstawicielstwa, a kontakty turystyczne, kulturalne i sportowe także stanowią jeszcze sferę nie zrealizowanych życzeń. Poza drogą morską dostać się do Portugalii jest raczej trudno — nam, Polakom, którym przylgają się bacznie policjanci hiszpańscy. Niemniej spotykałem na ulicach rodaków — marynarzy i podróżujących statkiem turystów, a także — młodzież z pokładu „Wisawy Czarnego”, który odbywał szkoleniowy rejs do Algierii. Ci, z którym rozmawiałem w przelocie, byli pod wielkim wrażeniem Lizbony i Portugalczyków.

Na słowo: Polska — nikt nie rzuca się nam tutaj na szyję (czego osobście nie lubię), wszyscy natomiast służą pomocą we wskazanym właściwej drogi, magazynu, banku, zabytku; stróż cmentarny, kiedy zabłądziłem pośród tych niekończących się, białych grobów — palacych i murów, gdzie mniej więcej swawani są w małych trumienkach do podobnych poczynym skrytek i wielkich pól, gdzie mogły biedoty nie mają już żadnych imion i dat, tylko wielocyfrowe numery porządkowe — stróż cmentarny doprowadził mnie skrótem do plotu i pomógł wydstać się na żywą ulicę.

Pilem kawę w domu portowego robotnika, paronastoletni uczeń gimnazjum przez całą godzinę oprowadzał mnie po bogatych dzielnicach stolicy w restauracji barman, który na pierwszy rzut oka robił wrażenie cwaniaka, podszedł do mnie z dwoma kieliszkami wina, trącił się, i powiedział:

— Niech Pan Bóg błogosławi tych, którzy przegonili faszystów, niech da zdrowie wszystkim komunistom, i w ogóle — za wolność!

— Ale wolność ma przed sobą ciężkie zadania. Jest na peryferiach Lizbony kilka enklaw, które do złudzenia przypominają obozy palestyńskie w Libanie: brud, smród, niedź i ubóstwo. Jest wiele pokrytych pleśnią, walących się domów, robotniczych w kompleksie centralnym. Jest sporo ludzi nie dożyłonych i źle ubranych na głównych arteriach miasta. Od czasu do czasu dają o sobie znać tradycje kolonialne. Jeśli już zobaczysz w Lizbonie Murzyna — będzie to zawsze śmieciarz, stróż, roznosiciel mleka albo czyściel wytrym sklepowych. Wprawdzie żadna praca nie hanbi, no i trudno powiedzieć, aby ludzie ci mieli na twarzy pietno ucieku, jednakże okoliczności, w jakich się ich spotyka, są prawdziwie społecznym, a nie dziełem przypadku.

Nie ma pijaków, żebraków i narkomanów. Kiśoroś dnia na ulicy Correietros ujrzałem Indiankę z małym dzieckiem. Siedziała pod murem, w czarnym wąskorodnym kapeluszu, otomana przed chłodem w kolorową derkę, spod której wystawała mała, umorusana, kwiląca główka niemowlaka. Paliła papierosa, a druga rękę wystawiała do przechodniów, którzy rzucili jej czasem parę eskudo. Nie wiem, czy była uciekiniarką z Chile, czy zasymilowaną tu Brazylijką. Nie mogłem się z nią dogadać, zresztą — jej los nie mieścił się raczej w moich reporterskich zamysłach, jako że zwiąki Portugalii z Ameryką Południową są dzisiaj luźne. W ogóle chyba nie powinienem o niej pisać, ale jak małe dziecko płacze, to się o tym pamięta, więc piszę — ni przypiaľ ni przylzał — wiedząc, że jest to sprawa nie tyle Portugalii, co nas wszystkich, całego świata.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

LEON GOMOLICKI



Fot. D. B. Lomaczewska

poobytu Adama Mickiewicza w Rosji” (1949), zbiory szkiców: „Mickiewicz wśród Rosjan” (1950) i „Wielki realist Aleksander Puszkinn” (1953) oraz opracowanie poematu Rylejewa „Wojnarowski” w comonej serii — „Biblioteka Narodowej” (1953). W latach 1953 i 1954 pracował jako robotnik w ZPB im. J. Marchlewskiego, a później — 1957-1972 był redaktorem w Wydawnictwie Łódzkim.

W Polsce Ludowej wydał tomik wierszy „Czas spoieliśmy” (1957), zbiór opowiadań i tzw. baśni robotniczych „Wieczory na Łódka” (1959) oraz trzytnasiem powieści: „Ucieczka” (1959), „Uprowadzenie Baucis” (1960, 1967, w druku), „Wylaczenie” (1962), „Białe runo” (1962), „Czasobranie” (1963, 1970 pt. „Miesto na Patmos” (1966), „Wydarzenie” (1968), „Dziki muzy” (1968), „Arka” (1970), „Komiks psychologiczny” (1972), „Erytyk” (1974).

Prozy Gomolickiego nie trzeba rekomendować. Uzyskała aprobatę czytelników, poszukujących w literaturze podniecia intelektualnej, a nie bodźców do rekreacyjnego błogostanu. Pobudziła ciekawość krytyki, która coraz baczniej przysięga się temu pisarzowi, dostrzegając w jego rozwoju oryginalny trop artystycznego nowatorstwa. Odsyłać więc zainteresowanych do prac poważniejszych, przagnę tutaj zwrócić uwagę na kilka jedynie akcentów myślowych i literackich, znamiennych dla warsztatu twórczego pisarza.

Popularny w literaturze trzydziestolecia temat wojny Gomolicki podniósł do wysokiej rangi artystycznej, czyniąc żeń nie tyle surowce złoża dla beletrystycznego opisawstwa, zasobne źródło dla efektownych fabuł, lecz filozoficzno-moralne zadanie umysłu. Powieści Gomolickiego są jedną z najciekawszych w naszej literaturze realizacji spowidniowych, psychologicznych i rozrachunkowych tendencji nurtu „okupacyjnego”. Prawie wszystkie utwory tego pisarza jednocy dążenie do przeciwstawiania półmrokowi moralnemu, jaki cełuje ilustracyjne ujęcia wojny, jaskrawych zapisów totalnego zła i totalnej winy.

Nie uswiadczysz w tej prozie batalistykę, nie ma w niej też pojmanowania

wojny jako walki. W obrazie wojny dominują ponure rysy okupacji, motywy lęku, zagubienia, zniewolenia, kryzysu, podłości i bierności. No i wstydu za tę bierność, za bezsilność wobec zła, rozprzestrzeniającego się fizycznymi aktami gwałtu i zaruwającego duszę oportuizmem, a nieraz także cyniczną pogardą dla „niepraktycznej” moralności. Wojna jest więc kleską duchową, porażeniem psychicznym, katastrofą moralną. Nie wyzwała inwencji, potrzebnej do czynnego przeciwstawienia się złu, co najwyżej uczy sztuki przystosowania do nowej rzeczywistości. Pozostawia nie tylko zbiorowe mogiły, ale również wewnętrzne deformacje i wiarę w katastroficzne przepowiednie. Oporu moralnego, stawianego w tym świecie przez jednostki o rygorystycznej wierności ideałom człowieczeństwa, nie manifestuje się w spektakularnych formach aktywności, nie układa w sensacyjną intręgę konspiracji, gry militarnej czy politycznej. Toteż bój o czystość duchową nie ma finału, granica wojny i pokoju nie jest żadnym przełomem ozdrowielskim, a bohaterowie Gomolickiego żyją w cieniu przeszłości.

Podjęmowane przez nich próby porozumienia z powojennym światem stabilizacji kończą się niepowodzeniem. Trwałość pookupacyjnej neurozy i permanentne rachunki sumienia izolują ich z otoczenia, które niekore jest do partnerstwa w nalogowych seansach pokutniczej samoudręki. Jest to cena, która placą za bezkompromisowe dążenia swej duszy. Są bowiem rozdarci pomiędzy pokusę włączenia się w „normalne” życie a przekonanie, że jedynie przyjęcie na siebie całej winy za porażkę moralną, jedynie wierność przeziemno wojennym, torturowanie pamięci — stwarzała im szanse zachowania godności i ocalenia wiary w człowieka. Dlatego widzą w swoim losie i w losie pokoleń, ocalonego z kataklizmu wojny, wcielenie greckich mitów: o Admiecie, Likaonie, Deukalione. Gomolicki stworzył więc bohatera o niepospolitym wyzuczeniu, a zarazem jakby chrześcijańskim odmienna, który dla unieważnienia taryfy ulgowej, cełującej standardowe wyobrażenia winy i odpowiedzialności, wywodzi się z kultury chrześcijaństwa, odwołuje się do surowych kanonów moralnych antyku. Ta wymiana kryteriów, rezygnacja z etyki zdroworozsądkowej, umożliwiła pisarzowi utrzymywanie stanu oskarżycielskiego napięcia, nie dającego się zlagodzić przyjęciem jakiejś formuły wyjaśniającej zło, czy różniącyj stopień winy.

Stworzyło to ideową sankcję dla nieustannych powrotów do tematu, dla kultywowania pryncypialnej niezgody na jakikolwiek myślowy rezejm, kon-

czący (czy choćby zawieszający) docho-dzenie w sprawie owego upadku człowieczeństwa, jakim historia doświadczyła pokolenie pisarza. A uzasadnienie takie było omawianemu pisarstwu potrzebne i z racji jego monotematyczności, i dla umotywowania erudycyjnych wywodów w zakresie filozofii człowieka i filozofii historii. Gomolicki zdaje się mówić — oto sięgam do historii, analizując zło w różnych wariantach dziejowych okoliczności, bo zmusza mnie do tego szok moralny, jak przeżyłem i który powinienem zbadać, by dotrzeć do źródeł natury ludzkiej.

Do heroizowanego wizerunku wojny dostosowuje więc obraz historii, nawierzniw do faktów współczesnych czerpie z symboliki kulturowej. Często sięga po mity, legendy i obiegowe warianty topiki średziemomoriskiej. W ten sposób zmienia dynamicznie rzeczywistość zastężyą w trwały, dostojny porządek mitu, który jakby odbiera jej wyjątkowość, który każe w niej widzieć kolejne warianty pierwowzoru. Powstaje w ten sposób rzeczywistość iniegralna, ponad czasem historycznym scaloną analogiami, mającymi świadczyć o dokonującej się wciąż swego rodzaju reinkarnacji archetypów. Konsekwentne forsowanie tego stylu rozumowania jest actem wyboru pomiędzy historyzmem a uniwersalizmem. Jest to zatem głos przeciwo historyzmowi, zestrajający się z tym, co sugerują np. psychologia głębi, filozofia kultury Ernsta Cassirera (u nas m. in. esnetyka Jastruna), a zarazem wyraz nowocześniejszego przesławdzenia o pośrednictwie kultury w każdym zabiegu poznawczym i interpretacyjnym człowieka. Postawa ta ma określone konsekwencje dla stylu pisarskiego.

Skoro pisarz chciał przebić się przez skorpne stereotypowych objaśnień i do-trzed do utajonych w naturze ludzkiej pobudek działania, uwzględnić musiał rozmaite przelawy tej natury, zapisane językiem faktów i zaoisane językiem legend. Językiem fikcji artystycznej i językiem nauki. Stąd w prozie Gomolickiego ciał z literatury nasładuje z zapisem kronikarskim, mitologiczną opowieść z esejem naukowym, apokryficzna fabuła z dokumentem źródłowym, obyczajowy reportaż z intymnym wyznaniem. Stąd całe skomplikowanie konstrukcyjne i narracyjne jego prozy. Gomolicki zabiega o wpisywanie świętego sensu w utarte schematy literackie, przekornie wypacza i neguje konwencje gatunkowe, by w rzeczywistości ukazać ich nowe możliwości (powieści: autobiograficzne, podróżnicze, produkcyjne, science-fiction, komiks itp.). Odnowielska pasja Gomolickiego obejmuje więc zarówno technikę pisarską,

jak i świat idei, polegając na generalnej skłonności do odczytywania na nowo tego wszystkiego, co ma już zadomowiona w umysłach wykładnię, klasyfikację i ocenę.

Obszerny komentarz wymaga stosunek do współczesności. Jej oblicza nie wyznacza w tej prozie interesy społeczne, przemiany polityczne, konkurencja ideologii. Terazniejsze otoczenie bohaterów Gomolickiego kształtuje kultura masowa, obyczajowość, architektura i tym podobne czynniki. Człowieka określa jego intymna duchowość, a nie jego role społeczne. Odgracza się on najczęściej od halasiwego życia, w którym zanikają tradycyjne formy kultury, nastawione na przeziemie wewnętrzne, kontemplacyjne, pytania metafizyczne, zastępowane teraz przez seryjną produkcję dóbr „lekich, łatwych i przyjemnych”. Reprezentantami tych zjawisk są „czarne charaktery”: kibica sportowego, zblazowanego artysty, kulturalno-osiawiatelowego chalturzystyka — niewolników konsumpcji, ludzi życiowo zaradnych, o rozbudowanych potrzebach materialnych i emocjonalnych, ale przytemalnym poczuciu moralnym i zamagłym poczuciu sensu życia. Przy takiej więc polaryzacji postaw, jaka zachodzi pomiędzy narratorem, porażonym przez kataklizm wojny, a jego, splaszczonym duchowo, otoczeniem, nie może dojść do wymiany doświadczeń. Stąd wewnętrzna separacja, psychiczna autonomia i oszczędna rezerwa wobec świata wydają mu się jedynymi szansami ocalenia wartości.

Cena wyrażoności moralnej jest więc Jednostronność, tak w obrazach przeszłości i terażniejszości, jak i w kasandrycznych wizjach przyszłości. Antidotum na tę stronniczość zawiera jednak sama twórczość Gomolickiego. Jest nią poetyka dzieła „otwartego” (pisal ja współczesny teoretyk sztuki — Umberto Eco), która daje pisarzowi więcej możliwości niż on może wykorzystać, zostawia w listocie pole dla wielu odmiennych racji, hipotez i obsesji. Proza Gomolickiego rejestruje niepokoje i zwątpienia, które są niezbędnyymi składnikami umysłowości inteligencji polskiej, doświadczonej w ostatnim półwieczu tylozma wstrząsami i próbami. Na te rozterki Gomolicki nie odpowiada postawą bezrefleksyjnej pewności siebie, lecz postawą ciągłej gotowości do dialogu, do wymiany uczuć i myśli, a więc też postawą „otwartą”. Proza jego jest więc choćby z tej racji (choć nie tylko z tej) literackim znakiem naszych czasów.

JERZY RZYMOWSKI

W. J. P.
W. J. P.

10840-A

REPORTAŻ

sa jeszcze czyste, lasy przebogate a ludzie zyciwi.

2.

Przeszłość tego miasta zamknięta jest Rynkiem, klasztorem przy ulicy Dominikańskiej, kościołem farnym przy Kolegiackiej, Wzgórzem Zamkowym nad Żegliną. Na tym Wzgórzu archeolodzy chcą się dokopać blasku i świetności dawnej stolicy województwa. Przeżywało okresy wznosów i powodzenia, jak i upadków czy stagnacji. W wieku XVI mieszkało tu w całym powiecie 30 tys. ludzi, a w samym centrum — Sieradzu tylko 4 tys. Uprawiano rzemiosło i handel ze Śląskiem i Gdańskiem, a Warta nosła barkami przez Włocławek i Toruń bogactwa sieradzkiej ziemi — drewno, zboże, skóry. Tutaj, w XVII wieku, rozkwita metalurgia. W Brąszewicach, Rudzie, Stolcu wytopiano rudy darniowe, rudy ubogie w żelazo, ale przecież dawały ludziom chleb. Potem epidemie wyludniły wsie i miasta, że w XVIII stuleciu w Sieradzu naliczono tylko 1142 dusze, a w największej w powiecie wsi — Klonowej — dusz 800.

W 1823 roku powstała tu fabryka sukna Adolfa Harvera z Sulechowa, która na dwie zmiany zatrudniał już w owym czasie 500 robotników. Tylko na wsi nie zmieniło się zbyt szybko życie jej mieszkańców.

Archeolodzy kopią na Wzgórzach Zamkowym, aby pokazać bogactwa i romantyczną historię Ziemi Sieradzkiej, choć zastąpił i sława jej synów głośne są dziś w całym świecie i udokumentowane zapisem w encyklopediach. Wspominają one o Skarżyskim, który w roku 1933 przeleciał przez Atlantyk, zapoczątkowując dumną historię polskiej awiacji, z Sieradza pochodzi Ary Szturmowicz, którego trajektorie umożliwiły start w kosmos całej plejady sputników, z tą ziemią związany jest także najsłynniejszy podobno fryzjer świata — Antoine-Cierplikowski.

Sieradzanie raz po raz ujawniali swój charakter i odrębność. Adiutant Napoleona, **Biernacki**, gdy artylerzyści cesarza Francuzów szli na zastępną rentę, unosząc w sercach smotę wyprawy rosyjskiej i Waterloo, postanowił wnieść swojemu wodzowi pomnik. W podsieradzkim Małkowie buduje w latach 1820—30 pałac, wzorując się na starożytnej architekturze i stylu domu, w którym wódz mieszkał na Elbie. Odrębność i oryginalność sieradzan widzieć można również we Wrzawie, Tubądzinie i Dąbrowce, gdzie do dziś pozostały relikty ciekawego architektonicznie budownictwa dworskiego, klasycyzmu dziewiętnastowieczny awantura na Ziemi Sieradzkiej ucieleśniając się w kształcie kamienicy i bogatych sztukateriach.

W Brzeźnie wypracowywać się będzie wzorce organizacyjne dla pozostałych gmin, pokazując, jak powinno się rozwijać życie kulturalne i gospodarkę gminy, umacniać wpływ gmin na życie codzienne wsi. W **Burzeninie** ma powstać ośrodek usług turystycznych, służących rekreacji na terenach nadwarciańskich. Powstała już koncepcja nie tylko budowy rozlewni gazu płynnego (40 tys. ton rocznie), ale i punkty uruchomienia fabryki wyrobów elektrotechnicznych, zakładu wyrobów azbestowych i fabryki-giganta, produkującej maszynę górnicze i zatrudniającej 5 tysięcy pracowników.

Rozmówca mój wybiera co chwila w przyszłość bynajmniej nie dlatego, że nie ma czego zaprezentować już dzisiaj. Przecież już w latach pięćdziesiątych, po kilkuletnim okresie powojennej niechęci do inwestowania w małych ośrodkach rozpoczął się tu autentyczny awans miasta. Tu właśnie powstała jedna z największych w Polsce fabryk dziewiarskich — „Sira”, tutaj od ponad roku „Zamwes” produkuje części zamienne dla przemysłu włókien chemicznych, tu letnia mleczarnia przerabia 120 tys. litrów mleka w ciągu doby, pracuje gorzelnia i zakład przetwórstwa owocowo-warzywnego.

Rozwój miasta jednak nie zatrzymał się na tych nowych, przemysłowych miejscach pracy. Wkrótce „Sira” otworzyła swą filię w Szadku, w Mące zbudowano duży elewator zbożowy, a sam Sieradz otrzymał nowoczesne, bo przy pomocy elektro-wozów, połączenie ze **Zduńską Wolą i Łodzią**. Dziś ta kolejka elektryczną może z zadmionionej ciągłej Łodzi w niecałą godzinę dostać się nad Wartę pod Sieradzem, gdzie niebo i woda

Gdy pociąg na chwilę przystanął, spojrzawszy z wysokiego mostu kolejowego na rzekę szeroko rozlaną, na ciągnące się aż po horyzont łąki i łąki, na białą nadrzeczną plażę. Przypominał mi się Zenek, mój kolega szkolny, którego w czasie okupacji Niemcy wzięli w Sieradzu w obojętności. Ojciec Zenka był wókniarzem i dopóki nie zgasł, zmieszany z powierzchni życia nagła apopleksja, był majstrem w wełnianej fabryce. I, dziwna rzecz, jak mi mówili ludzie obeznani z historią — pierwsza fabryka wełniana w Sieradzu powstała właśnie na terenach zajętych później przez więźnia. Wrzawili do tego więźnia Zenka w okresie okupacji. Tu, w sieradzkim więzieniu, po raz pierwszy w swym życiu Zenek oenił na własnej skórze i kościach krwiożerczość wroga. W bóle przybitym, na rozkaz wachmistrzów, wydeptywał całymi miesiącami ścięgna w bagnistym gruncie. Tak, dla sąpasu wachmistrza. Po latach swe wspomnienia o tym okresie przerywał raz po raz, krzywiąc twarz bolesnym skurczem i chwytając się za kolano, w którym okupacyjni bioto zadamowali się w stawach na całej dźwięcotelecia.

Na, ale Zenek był jeden. Do historii najnowszej Sieradza należy także tablica na dworc, upamięniająca akty masowego ludobójstwa. Tutaj właśnie Niemcy zombardowali pociąg pełen przymusowych przesiedleńców. Setki Polaków zostało tu — nad Wartą — na zawsze.

Gdy o tym piszę — blisko również do biostawiska żołnierzy Września. W rejonie mostu na Warcie, pod Sieradzem, rozgo-

toril masta. Nowy etap zaczął się i w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, bo decyzja budowy fabryki w Sieradzu oznaczała rewolucyjne wprost wzbogacenie wyrobów tego przemysłu i stopniowe przechodzenie od produkcji tkanin bawełnianych i wełnianych do wyrobów dziewiarskich, coraz bardziej poszukiwanych przez ludzi, coraz bardziej opłacalnych dla gospodarki, atrakcyjnych i nowoczesnych. „Sira” oznaczała cios w hegemonię tzw. tkaninowego metrażu.

Do tej właśnie „brygady szturmowej” należał także człowiek, z którym właśnie rozmawiam.

— Wszyscy mieliśmy wtedy, w pięćdziesiątym szóstym roku, treść. Bo to i największa w kraju fabryka dziewiarska i pierwsza — tak nowoczesna, 200 dziewięć i chłopców ze szkoły zawodowej, w której z grubszą zapoznał się z pracą dziewiarską i szwaczek — to był początek naszej żałogi. Ale kto miał im wyłożyć na polski ten cały nowa technika, która w takiej masie swa była nam z NRD i NRP, Francji, Holandii i Anglii?

Dyrektor **Zbigniew Smok** przywitał mnie tego dnia liczbami, mówiącymi o randze tej wielkiej fabryki w kraju. 18 lat temu wyprodukowała ona 200 tys. sztuk wyrobów za 12 milionów złotych, jedenaście lat później pracowało tu już 980 osób, a produkcja wzrosła do 11 mln sztuk (wartość 774 mln zł), w roku bieżącym zaś 3800 pracowników dostarczy (i chyba przekroczy ten plan) wyrobów za 1,7 miliarda zł.

Ale o tym pierwszym okresie inwazji nowoczesnego przemysłu do cichego Sieradza wspomina jak o sukcesie jeszcze większym, niż to coroczne przekraczanie planów.

Ludzie przychodzili chętni, ale surowi. Chcieli zarabiać w mieście, w fabryce, ale przecież o fabrykach tylko słyszeli. Wysepka nadziei stał się w tych warunkach przywilej 200 uczniów i uczennic oraz 20 mistrzów. Ta kadra przyszła do nas z uczuciem ludzi, których posyła się na front prawdziwie pionierskiej pracy. Przyjeżdżali z „Feminy”, od „Jureczka”, z „Marko”. Przyjeżdżali ich szerokie mówiące romantyka nowego, dzielnego jeszcze miejsca pracy, a może i sielskiego miasteczka.

Z tego, co mówił dyrektor o pierwszym miesiącach fabryki, można sobie było wytworzyć pewien obraz wydarzeń w „Sirze”. Dużej cierpliwości wymagały te czasy, gdy wśród ciągle zwiększającej się załogi rosła również grupa tych, co to po raz pierwszy w życiu widzieli na własne oczy... schody, po których trzeba było chodzić bez leku przestrzeni, co to zapoznawali się nie tylko z właściwościami obsługi importowanych automatów i wysokowydajnych maszyn produkcyjnych, ale i z... funkcjonowaniem w.c. i przysnów.

W „brygadzii szturmowej”, która wtedy przyszła do fabryki, aby tłumaczyć na język codzienny kulturotwórczą funkcje przemysłu, znaleźli się też absolwenci Politechniki Łódzkiej, którzy tu pragnęli się sprawdzić i kierownicy z zakładów dziewiarskich z całej Polski, dojrzejający w „Sirze” na dyrektatorów. Fabryka mogła w tym dojrzewaniu. Dyrektor Smok wymienia nazwiska, funkcje, jakie ludzie pełnili w „Sirze” i ich późniejszy awans.

Fabryka wychowała też kilka tysięcy zwykłych ludzi. Wiele z nich tutaj dopiero, gdy zaczęła wraść w klasę robotniczą, dowiedziało się, że gdy pracę zaczyna się o 6 rano, to trzeba ją podjąć właśnie o 6 a nie o 7 czy 8, jak to na początku niektórzy rozumieli. Wiele z nich musiałoby w pierwszym okresie swej roboty w „Sirze” poddawać się kontroli z zakresu higieny osobistej, którą to kontrolę sprawowała portiernia. Czystość w tej branży bowiem, nawet stan paznokci, znaczy wiele w zetknięciu z delikatną przędzą, z białą błuką czy misternym cienkim wdziankiem. Higiena i czystość osobista musiała wejść w nawyk ludzi — którzy w większości myli przedtem ręce raz na

dzień i to niedokładnie, którzy kapali się, jak to zwycał kazal, raz około Wielkiej Nocy — po to, aby rynek począł się zachwycać wyrobami „Siry”, aby jednocześnie zdobywać rynek zagraniczny.

Urosli ludzie — sprawili to rytm pracy, poczucie współodpowiedzialności, wieloletni rozwój osobowości w zorganizowanym kolektywie. Powstawała tu w fabryce szacunek dla społecznego dobra, więc i rewizje przeprowadzane są tu tylko wyrywkowo i bardzo sporadycznie. Można nawet na twarzach ludzi, tych spod Szadku, Warty czy Sieradza, wyczuć coś, co nazwałbym dumą z otrząskania się z techniki, tak przecież im kiedyś obca i groźna, z życiem wielkiej fabryki, która w pierwszych miesiącach dla większości była wielką niewiadomą.

To ludzkie wstrastanie w nowoczesność jest procesem ciągłym, dwa technika i jedna zasadnicza szkoła zawodowa — placówki stworzone przez „Sira” — systematycznie szkolą, uczą „surowych” zawodowców, doskonalą ich. W okresie świetli istnienia te trzy szkoły umożliwiły właściwy start 1600 robotników wykwalifikowanych i 300 techników. Swe nadzieje życiowe wiąży z fabryką także coraz liczniejsi studenci łódzkich uczelni, a ostatnio zawarto tu 17 umów stypendialnych.

4.

Jan Świętek budował tę fabrykę, potem nauczył się pracy farbierza i dziś pracuje tu wraz z żoną, a sya, **Mieczysław**, rozpoczął jako uczeń na dziewiarni, a dziś jest już mistrzem. Świętek był „swój”, tutejszy, miał więc od razu posłuch, co on uważał za dobre, uważali i inni, szybko zdobył sobie autorytet, a gdy wstąpił do partii, cieszy się jeszcze większym mirem.

Dziewiarz, Tadeusz Serweta, delegat załogi na VI Zjazd, również pracuje tu wraz z żoną, **Stefania Maciejewska** związała swój los z fabryką, a potem przyciągnęła jeszcze trzy córki. Jedną jest już dziś magistrzem inżynierem i kieruje fabrycznym laboratorium, druga — sekretarką w dyrekcji, trzecia odnalazła swą życiową pasję w zakładowej służbie zdrowia.

Jadwiga Maciaszczyk rozpoczęła od referentki, ale nie zmarzyła czasu i wielkiej szansy, zapisała się na studia zoiczne na Politechnice, a po ich ukończeniu została szefem eksportu w dziale badawczo-rozwojowym.

Andrzej Nowicki, pracownik z 15-letnim stażem w tej fabryce, po skończeniu studiów zoicznych ubiega się właśnie o otwarcie przewodu doktoranckiego...

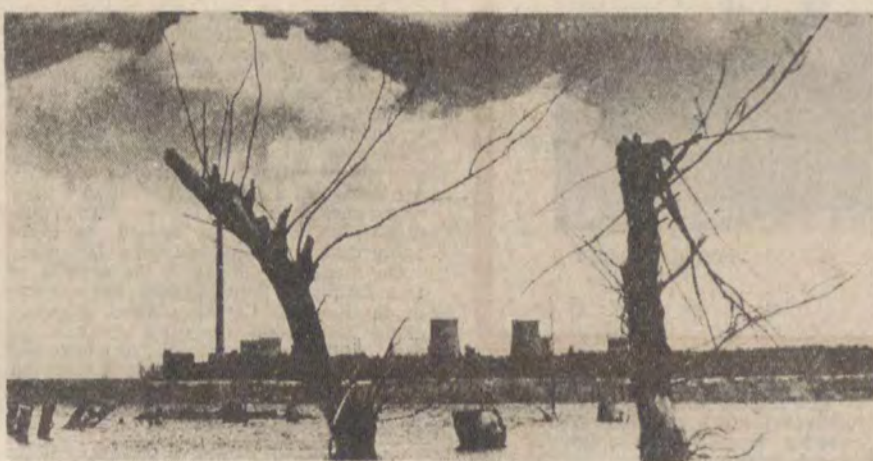
5.

Warczą buldożery w centrum miasta, buduje się kolektor kanalizacyjny, przygotowuje tereny pod budowę stacji pomp, wznosi kotłownię, która zaspokoi potrzeby nowych osiedli, rozbudowuje przedsiębiorstwo obsługi miejscowej motoryzacji. I ta fabryka, która zatrudniła 3800 osób i wkrótce wyprodukuje za 2 miliardy zł. I te wszystkie przemiany, które przekształciły w powojennym czasie ciche i małe miasteczko z małomiasteczkowymi ludźmi i małomiasteczkowym marazmem w ośrodek pulsujący coraz żywym tętnem, miasto, którego za lat kilkanaście chyba już nie poznacie. Jest tu coraz więcej i zamożniej.

Ale archeolodzy na Górze Zamkowej dalej kopią, szukając śladów dawnej świetności Sieradza. Na Górze Zamkowej nie dochodzi rozgwar ludzkich głosów, poszum tysięcy maszyn i praca tych 3800, którzy zdecydowanie otworzyli nowy rozdział w historii powiatu.

FELIKS BĄBOL

WZGÓRZE ZAMKOWE I FABRYKA



Fot: W. Parys

3.

Jesteśmy więc świadkami awansu miasta, które za lat piętnaście ma szansę stać się ośrodkiem blisko 50-tysięcznym. Jest to również awans powiatu całego i awans ludzi, ich świadomości wzbogaconej w tym pierwszym powojennym trzydziestoletnim rozlicznymi przemianami w życiu, w pracy, w rozumieniu świata. Tyle się mówi o przeobrażającej roli przemysłu, jego znaczeniu miasto- i kulturotwórczym, ale to wszystko prawda. Dokumentuje to prawdę codzienne życie ponad 3,5-tysięcznej załogi „Siry”.

Ta fabryka powstała właściwie z ludzkich marzeń o pracy „gdzieś blisko”, z uporu „szturmowej brygady” techników i inżynierów, która tu, w sąsiedztwie torów kolejowych, na terenach przeznaczonych dla nowego Sieradza, rozpoczęła proces wielkiej industrializacji małego miasta. Oni pierwsi — przed 18 laty — rozpoczęli pisanie nowego rozdziału his-

tożyci, ale i punkty uruchomienia fabryki wyrobów elektrotechnicznych, zakładu wyrobów azbestowych i fabryki-giganta, produkującej maszynę górnicze i zatrudniającej 5 tysięcy pracowników.

Rozwój miasta jednak nie zatrzymał się na tych nowych, przemysłowych miejscach pracy. Wkrótce „Sira” otworzyła swą filię w Szadku, w Mące zbudowano duży elewator zbożowy, a sam Sieradz otrzymał nowoczesne, bo przy pomocy elektro-wozów, połączenie ze **Zduńską Wolą i Łodzią**. Dziś ta kolejka elektryczną może z zadmionionej ciągłej Łodzi w niecałą godzinę dostać się nad Wartę pod Sieradzem, gdzie niebo i woda

Przedwzrostem — mówi — możliwość budowy dużej cukrowni, będziemy intensyfikować rolnictwo, a zwłaszcza hodowlę, rozwijając i podnosząc gminy.

TELEWIZJA

JAK BYĆ KOCHANĄ?

Teledzienniki jako kulturalną instytucję, która zajmuje się gorliwym zabijaniem naszego czasu trawi wielki kompleks: poczucie niedoceniania, lekceważenia, niedostatecznej uwagi z naszej strony dla jej starań o nasze względy. Fakt to oczywisty, że jako środek masowego przekazu zdominowała ona inne środki masowego przekazu, ale jest to przewaga ilościowa, mierzona czasem tylko, a nie koncentracją uwagi. TV za wtargnięcie do naszych domostw musi płacić wielką cenę, która jest udziałem zbyt natrętnych gości. Tracimy wrażliwość na jej obecność, stajemy się obojętni. Ale TV jest wygodna dla nas. To nie my przychodzimy do niej, lecz ona do nas. Ta wytrwała usługa jest jedyną i najtrwałszą gwarancją jej monopolu.

czy. Doskonale orientuje się w swoich statystycznych udziałach w naszym życiu i doskonale wie, że jej zabiegom przypatrujemy się od niechęci, nie tak jakby tego pragnęła, że nader często miast być kochaną jest zaledwie tolerowana. Kompleks niekochania nolenis volens sterczy z małego ekranu. Natarczywa kołtateria spikerek i próby o listy do redakcji to tylko zewnętrzna ekspresja tego kompleksu. Ostatnio sięga on głębiej i przejawia się w sparadyżnych próbach reorganizacji całego programu.

Myślę o nowej inicjatywie programowej, której drugie wydanie oglądaliśmy w ubiegłą sobotę, a nazwanej „Studio — 2”. „Studio — 2” ma charakter niecodzienny, odświeżony. Jego redaktorzy zdają sobie doskonale sprawę z szarej telewizyjnej codzienności

i pragną ją zastąpić takim blokiem programowym, którego recepcja byłaby zorganizowana. Stąd oprawa całości prowadzonej przez trójkę spikerów i kompozycja różnych audycji, która stwarza pozor celowości. Szczególnie istotne są tutaj zabiegi kompozycyjne, ponieważ organiczną wadą codziennego programu telewizyjnego jest przypadkowość kolejnych jednostek programowych pojawiających się kolejno na ekranie. Dokładny jest brak celowej organizacji całego bloku, którego generalna zasada winien być szczególny montaż redakcyjny. Ta wada sprawia, że odbiór telewizyjny popada w rutynę stopniową wrażliwość, dla której granicę pomiędzy fikcją a rzeczywistością, rozrywką a tragedią zaczyna się zacierać. Postawa odbiorcza przestaje się różnicować i staje się niopokojąca jednolita wobec programów o różnym charakterze i wydźwięku. Telewizyjny wchłok mechanizmem przenosi nas z nastroju w nastrój, z konwencji w konwencję, z tematu w temat. W tej codziennej karuzeli już nie my wybieramy różne audycje, lecz jesteśmy sa-

mi przez nie wybierani. Wybór ten dokonuje się siłą bezwładu, a jego zasada rządzi przypadkiem.

„Studio — 2” jest próbą przełamania tej przypadkowości. Użykuje tu za celne zdecydowanie się na konwencje rozrywkowe. Cały blok ma charakter typowego magazynu, którego poszczególne audycje mają dostarczyć tzw. relaksu w sobotnie popołudnie. Poprzednia edycja „Studio — 2” miała identyczny charakter i była emitowana w II programie, co było oczywiście nieporozumieniem i kolejnym dowodem na brak jakiegokolwiek sensownej koncepcji tego programu. Odwołanie się do rozrywkowego instynktu było bardziej celowe w programie I, który ma charakter masowy, ale poziom tej rozrywki nie odbiegał zasadniczo od kanonów tego gatunku w telewizji (np. recital Barbary Streisand czy chwilami mało wybredny „Benny Hill Show”). Usiłowało również trafić w zainteresowania wyobrażone jako najpowszechniejsze. A więc spocł w wydaniu gwiazdorskim i pasjonujący mecz tenisowy, który tracił nieco na wido-

wiskości w warunkach halowego kortu, a także paradna lekcja gimnastyki w wykonaniu nieprzeciętnej sily komicznej Jacka Niezychowskiego. Z masowego pulapu wystawały nieco aktwencje samochodowe zdradzające swój reklamowy podtekst. Zabawny był brak poczucia pewności u Tomasa Hofferera, który usiłował nas przekonać o zbawieniych pożytkach płynących z lekcji kontrolowanego pospogu. Nawiasem mówiąc, poczucie pewności siebie nie opuszczało red. Edwarda Mikolajczyka, który piskiwym tenorkiem demonstrował swoją w każdym calu antytelewiwizyjną osobowość.

Porę rozejrzeć się za optymistycznym akcentem. Nie powiem w końcu, czy „Studio — 2” podobalo mi się, bowiem najważniejsze, aby podobalo się nie krytykowi, lecz widzom. I obyśmy zdrowi byli w nowym roku i pokochali TVP!

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

WIEDEN

Dalszy ciąg ze str. 1

Cały Wiedeń oblowił się wtedy lupami z tureckiego obozu. Czy można się więc dziwić, że „lud wszystkich pospolity — jak donosił król w kolejnym liście do Polski — całował mi ręce i nogi, a drudzy się tylko dotykali, wołając: — Ach, niech tę rękę walczną ucałujemy...”

Lubię takie soczyste, podnoszące na duchu opisy, które nawet po latach radują polskie serce. Szkoda tylko, że tryumfy są takie nieświeższe. Bo o to sam Sobieski, po spotkaniu z cesarzem Leopoldem, który po sromolnej ucieczce mógł wrócić do oswojonego naszymi orężem Wiednia, wyzywa się złudzeń: „...Po tem się wiedeńskie, zaraz tak się wszystko odmieniło, jakby nas nigdy nie znano”.

Można by pojechać do kościołka na Kahlenbergu, gdzie Austriacy po dziś dzień przechowują mimo wszystko pamiątki po Sobieskim, ale się nie chce, bo to i daleko, i ta jesień odbierająca ochotę do podróży. I wciąż mi się płacze po głowie to zdanie-wyrzut, zdanie-dziwienie: „...jakby nas nigdy nie znano”. Nostalgia? Wciąż piję zdrowie z Turkami mieszkającymi w hotelu po sąsiedku, za ścianą, wznosimy toasty: ja w swoim języku, oni w swoim, a kiedy trzeba coś uzgodnić przechodzimy na niemiecki. I nie wiem dlaczego oowidzieliem im nagłe o spacerze w greckim zauku i zwierzyłem się ze swych refleksji o Sobieskim. Myślałem, że mnie wyśmieją. Ale nie. Jeden z nich, imienia nie zapamiętałem, poderwał się nagłe z krzesła i zaczął namiętnie mówić o Atatürku, który zeuropelzował ich kraj, dzięki czemu młodzież turecka może dziś studiować nawet w takim Wiedniu.

Kemal Pasza — przerwałem ten potok słów.

Kemal Pasza! Kemal Pasza! — ucieszyli się, że znam prawdziwe nazwisko „Ojca Turków”. Wypiliśmy więc za sławę Jana III i za reformy Atatürka, a było nam tak swobodnie, jakby nasze kraje nie znały żadnych wojen i polska szablą nie krzyżowała się nigdy z turecką.

Ale rano, po tegim łyku piwa na rozruszanie kości, zacząłem już na serio rozmyślać o naszej obecności w Wiedniu. To brzmi tak dostojnie: polska obecność w Wiedniu.

Przypływałem się przecież na tym, że otwierając austriackie dzienniki szukałem choćby wzmianki, choćby jednego słowa o Polsce. Raz natrafiłem na wiadomość o wypadku spowodowanym przez kierowniczkę polskiej cieżarówki, która przez kilka godzin blokowała ruch na Gürtelu, wiedeńskiej obwodnicy. Inny raz uderzył mnie w oczy duży tytuł: „Polnische Horchzeit!” i sam byłem ciekaw, jak w opinii austriaków wygląda „Wesele po polsku”, okazło się jednakże, że przysłonił go tylko pretekstem, bo naprawdę chodziło w tym artykule o „Scheidung in Österreich”, a więc o rozwody w Austrii.

Jan Oskar Tauschinski, zasłużony tłumacz naszej literatury i autor książki „Młodzieńcy w pniu drzewa, Baśnie i podniebia z Polski” oowidział mi od razu, że nie powinienem mieć złudzeń. Odwiedziłem go w jego biurze, czyli jak my powiedzieliśmy: redakcji, bo pracuje w wydawnictwie, które zwie się: Osterreicher Buchklub der Jugend. Urodzony w Zaborukach na terenie dawniej Galicji Tauschinski emigrował po Anschlussie do Polski, gdzie przebywał dwa lata i w 1940 roku powrócił do Wiednia podając się losowo. Wiedeń przez faszystów zachował żywą nienawiść do czasów bogardz. Może dlatego właśnie znalazł się w wydawnictwie zamordowanej w obozie koncentracyjnym Almy Johanny Koenig.

Niech pan wyzbędzie się złudzeń. Cichy głos Tauschinskiego wypełnił wąską, biurową kłitkę, której wymiary

żywo przypominały okres naszego oszczędnościowego budownictwa.

— No, dobrze. A „Herr Cogito” Zbigniewa Herberta? — nie dawalem za wygraną.

— „Pan Cogito” Herberta? — wydana ostatnio w Austrii powieść Marii Kuniewiczowej „Adieu, Tristan”? O, można dorzucić jeszcze parę książek łącznie z przelożonym na niemiecki Schulzem i Gombrowiczem. Niech pan wyzbędzie się złudzeń — powtórzył raz jeszcze Tauschinski. — Droga literatury polskiej na rynek austriacki jest bardzo trudna. Te książki leżą na składzie, będą długo leżeć, mimo zycyliwych recenzji w prasie. O wiele łatwiej sprzedaje się u nas trzeciorzędny czy nawet czwartorzędny pisarz amerykański czy angielski.

nowa w Wiedniu, bo licząca niespełna rok i dopiero rozpoczynająca działalność. A przecież, jak mnie zapewnił dyrektor Stefan Piłowar, poza działalnością odczytową, Instytut na przełomie września i października zorganizował dobrze przyjęte „Dni Katowickie” — przegląd sztuki regionu śląskiego oraz urządził na Ratuszu wystawę polskiego malarstwa i grafiki. Aktualnie przygotowuje się prezentację osiągnięć gospodarczych i kulturalnych województwa krakowskiego i ściągają ekspozycję na wystawę plakatu ze zbiorów muzeum wilanowskiego.

Ta forpoczta polskiej współczesnej kultury oraz czytelnia Związku Polaków w Austrii „Strzecha” przyczyniają się do przelamania pewnej obojętności dla naszych spraw w Wiedniu.

żeby zachować polskość. Oto, dowładując się z innego biuletynu, członkowie „Strzechy” zorganizowali akademię z okazji 29-tych rocznicy wyzwolenia Warszawy, i znów muszą oddać pióro temu samemu kronikarzowi:

„Kiedy padły słowa mówiące o zmaganiach mieszkańców Warszawy z hitlerowskim okupantem, ponoszonych olbrzymich, kiedy była mowa o łapaniakach, egzekucjach, o Powstaniu Warszawskim, o totalnej zagładzie miasta na twarzach wielu zebranych pojawił się grymas bólu. Tak, Oni to pamiętają, Oni tego nigdy nie zapomną. Kiedy zaczęto mówić o wyzwoleniu, o odbudowie miasta, o pierwszych osiągnięciach takich jak Trasa W-Z, Mianieszta, Muranow, MDM, które są symbolem okresu odbudowy miasta, kiedy mowa naszkicewała rozwój budownictwa mieszkaniowego oraz stwierdził, że Warszawa jest stolicą polskiej kultury i sztuki, jest jednym z głównych ośrodków przemysłowych, na twarzach tych osób pojawił się uśmiech. Był to uśmiech wyrażający radość i dumę że po tak gigantycznym wysiłku całego narodu, wszystkich Polaków w kraju i za granicą, Warszawa znowu przeżywa okres świetności, jest miastem na wskrosz nowoczesnym, że Oni też mają swój wkład w jej odbudowę i rozbudowę, poprzez różnego rodzaju pomoc tak w postaci darów pieniężnych jak i bezpośredniego wkładu pracy”.

Zacytowałem to tak obszernie, aby uprzytomnić, że wszystko, co dotyczy kraju jest tu odbierane z sentymentem, żarliwie, jak ewangelię. Już dawno minęły czasy, gdy strażono się wzajemnie Kozakami, którzy jakoby stacjonują na ulicach Warszawy, wielu członków „Strzechy” jeździ regularnie do kraju, a do Wiednia coraz częściej przyjeżdżają polscy turyści. Ale wciąż są ciekawi, jak tam jest w tej Polsce i kiedy opowiadają o swoich wrażeniach, kiwają głowami:

— Tak, to już jest inna Polska. Ale ta inność nie ma dla nich wymowy pejoratywnej. Jest to raczej zdumienie, że tam, w kraju, tak szybko wszystko się zmienia. Jest w tym także odrobina żalu, że sami nie biorą w tym wszystkim udziału, bo choć czują się Polakami, wrosli już w tutejszy pejzaż, już ich tu zatrzymują na miejscu sprawy życiowe, z których nie sposób zrezygnować. Więc chociaż te dary pieniężne Budowy Domu Zdrowia Dziecka... Do niedawna gnieździł się zresztą w tym lokalu na Schwandgasse przycepienie do Polskiej Czytelni, która przeniesiona została do Instytutu. Zyskali na tym, mogli w ten sposób zorganizować pomieszczenia klubowe, a to ważne, bo można się do woli wygadać po polsku, zjeść flaki czy bigos, wspominać przy winie stare czasy.

A przecież nie tylko o sentymencie tu chodzi. Kiedy kraj zyskuje prestiż w świecie, zyskuje na tym także Polonia. Pochodzenie może być pięknym zamknięciem wszystkie drzwi, ale może być też powodem do dumy, rodzajem nobilitacji. Z okazji pobytu jesiennym premiera Piotra Jaroszewicza w Austrii, czując jednocześnie jubileusz 30-lecia PRL, „Die Presse”, najważniejszy i bez przesady najbardziej wpływowy w Austrii dziennik, wydał numer specjalny pod nazwą „Polen”. To „Sonderbeilage zum 30. Jahres der VR Polen” ma charakter monograficzny, obok artykułów premiera PRL Piotra Jaroszewicza oraz kanclerza federalnego Austrii dra Bruno Kreisky’ego, przynosi wiele pozycji poświęconych wzajemnym kontaktom, a także materiały publicystyczne poświęcone rozwojowi naszego handlu i przemysłu, Warszawie i Krakowowi, Chopinowi i Grotowskiemu. Wymieniam tu tylko przykładowo, bo nie sposób owoić wszystkie, numer jest bardzo obszerny, liczy sobie bitych 28 stron formatu „Trybuna Ludu”. Przyznam się, że moja uwagę zwrócił artykuł płaora Jana Hurnika, generalnego dyrektora „Węglokoku” w Katowicach, zaproszone specjalnie na łamy „Die Presse”. „Österreich — der grössten Importeure polnischer Steinkohle nach dem II. Weltkrieg” głosi tytuł artykułu, co zna-

czy „Austria jednym z największych importerów polskiego węgla kamiennego po II Wojnie Światowej”. Jakby potwierdzeniem tych słów była załączona do publikacji tabelka, z której wynika, że w latach 1945—1973 wystaliśmy do Austrii łącznie blisko 33 miliony ton węgla.

Ale nie od razu uświadomiłem sobie znaczenie tej informacji, uprzytomniła mi to dopiero wyprawa do Grinzingu leżącego daleko, bo w XIX dzielnicy, poza zwartą miejską zabudową.

Niektórzy twierdzą, że jeśli chce się zobaczyć prawdziwych wiedeńczyków, trzeba ich szukać w małych restauracjach nad Grinzingu, gdzie są rozluźnieni, sentymentalni i przyjaźliwi. Tam, niemal w wiejskim pejzażu, można posłyszcieć pieśni śpiewane w wiedeńskim dialekcie, można popatrzeć na ludzi zgola różnych niż ci, którzy rano śpieszą do pracy, bo Grinzing przeobraża, wyzwala jakiś nieuchwytny czar i bez niego Wiedeń utraciłby połowę swojej urody.

Wybrałem się do XIX dzielnicy w odwiedziny zaproszony przez germanistkę dr Edithe Rosenstrauch nie przypuszczając zresztą, że spotkam tam większe towarzystwo. Wizyta była odkładana, gdyż w międzyczasie mał pani Rosenstrauch polecił w interesach do Syjamu. I oto znalazłem się przed seryjną, jednopiętrową willą (z takich bliźniaczych domów składa się całe osiedle) i windą wiechałem na piętro.

Dopiero na miejscu dowiedziałem się, że pani Rosenstrauch jest jedyną z największych w Austrii importerów polskiego węgla.

I chociaż na Uniwersytecie Wiedeńskim uczestniczyłem w seminarium prof. Konrada Górskiego na temat „Słownika języka Mickiewicza”, chociaż wiedziałem, że „Maria Stuart” Schillera w reżyserii Erwina Axera idzie w „Akademietherater” nieczym kompletem, bo nie udało mi się zdobyć biletu na spektakl, mimo tych dowodów zainteresowania kulturą polską, nie dałem się zwieść pozorom. W domu na Kassrabenstrasse byłem przyjmowany nie jako reprezentant prawie tu nie znanej literatury polskiej tylko jako obywatel państwa, które posiada węgla, które wysła ten węgla w świat i przez to jest atrakcyjne jako partner.

Rozmowa w tym salonie nie dotyczyła co prawda węgla. Rozwaleni na kanapach i fotelach słuchaliśmy relacji gospodarza domu z jego podróży do Bangkoku, dyskutowaliśmy o komiksie, o znaczeniu prozy austriackiej w literaturze światowej, a potem rozmowa zeszła na sprawy codzienne, na sytuację austriackiej służby zdrowia, bo wśród nas znajdował się lekarz.

W pewnym momencie poproszono mnie, abym zacytował w oryginalnym własny wiersz. Zdziwiło mnie to trochę, gdyż nikt nie znał polskiego, a nie czulem się na silach, by choćby pobieżnie przełożyć treść na niemiecki ze świadomością, że ja wyrażam i pozbawiam artystycznych walorów.

— Chcielibyśmy usłyszeć jak brzmi polski język w ustach poety — wyjaśniła lekzka gospodarza.

Podniosłem się odstawiwszy kieliszek. Zanadła cisza, w której własne słowa odbierałem jak coś istniejącego poza mną. Jakbym się także przeobraził w słuchacza. Widziałem wpatrzone we mnie spojrzenia, ale nie byłem sroezowny. W pewnym momencie spośckiem ze wzrokiem z panem Rosenstrauchem, który słędcząc niedbale słuchał mnie użnie.

I wtedy zrozumiałem, że prawdziwy Kahlenberg to pierwsza lensza haldy węglowa na Śląsku. Z takiej góry spoglądnie powinniśmy na Wiedeń, który otwiera nam swoje bramy, i wtedy nie doznamy uczucia, „jakby nas tu nigdy nie znano”.

KONRAD FREJDlich

KAHLENBERG



Fot. Archiwum

To nie tylko bariera języka, bo na przykład w Niemczech zachodnich polskie książki cieszą się mimo wszystko sporym zainteresowaniem. Ale u Niemców to forma ekspiacji, rodzaj kompleksu, którego Austriak jest wyżyty, bo nie poczują się do odowidzialności za wojnę. Nawet, gdy służył w Wehrmachcie, jak ten konduktor tramwaju linii 65, który przez całą drogę opowiadał mi swoje przeżycia ze wschodniego frontu. Austriaka cechuje życzliwa obojętność dla wszystkiego, co obce. Jest tolerancyjny, ale nie ma w nim tej ciekawości innych ludzi, która nakazuje Polakowi zaprosić nieznanego do własnego domu. Oczywiście są wyjątki. Doktor Kanitzer, prezes Austriacko-Polskiego Towarzystwa a zarazem redaktor naczelny miesięcznika „Österreich-Polen” nauczył się nawet naszego języka i wytrwale propaguje w Wiedniu nasze sprawy. Ściaga prelegentów, angażuje artystów, urządził spotkania z udziałem polskich znakomitości. Zaprosiłem się na jedno z takich spotkań, na recital chopinowski profesora Leckiego, płem kocktajle i jadłem darmowy bigos reklamowany jako polski, spytkałem te same twarze, które zapamiętałem z odczytu o węglu urządzonym przez Polski Instytut.

Właśnie, Polski Instytut, położony w najstarszej części Wiednia przy uliczce Am Gestade 7, którego świecący szyld widać z każdego miejsca na placu Zmody (Concordiaplatz), instytucja zgola

W „Strzesze”, która skupia starą Polonię, rozmawiam z panią Wandą Mąymowicz, bibliotekarką a zarazem redaktorką biuletynu, który jest tutaj jedynym chyba periodykiem wydawanym po polsku. Nowy numer schodzi właśnie z powielacza, a ja, korzystając z okazji, przeglądam starsze numery, aby dowiedzieć się czegoś o życiu Polonii w Austrii i jej tradycjach, bo „Strzecha” będzie w najbliższym czasie obchodzić jubileusz osiemdziesięciolecia. Czytam oto, że 1 lutego w salach Palais Palfy przy Josef-Platz odbył się Polski Bal, z którego dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie.

„Polski Bal — donosi biuletyn piórem swego kronikarza, Kazimierza Malinowskiego — był jednym z wielu, które w tym czasie odbywały się w Wiedniu. Bowiem do tradycji już należy, że w okresie karnawału odbywa się bardzo dużo tego rodzaju imprez, organizowanych przez różne środowiska, które w ten sposób chcą zamanifestować swoją odrębność i przynależność.

Polska społeczność w Austrii po wieloletniej przerwie w dniu 1 lutego znowu zamanifestowała swoją obecność organizując Polski Bal”.

Trzeba przebywać dłużej na obczyźnie, żeby zrozumieć, że ten bardzo przecież podniosły, chociaż jednocześnie chropawy styl, jest tutaj jak najbardziej w miejscu. Nie razi a raczej wzrusza, jak te wszystkie poczynania,

FILM

„KRAKSA”

„KRAKSA” jest trzecią, pokazywaną na naszych ekranach próbą adaptacji utworów Friedricha Dürrenmatta. Oglądaliśmy już dramaty kryminalny „W biały dzień” oraz ekranizację dramatu „Wizyta starszej pani”, spotkała się ona zresztą z bardzo surowymi ocenami. „Kraksa” zrealizowana we włosko-francuskiej kooperacji przez Ettore Scola, spotka się zapewne ze znacznie życzliwszym przyjęciem, choć czytelniczy znakomity opowiadania Dürrenmatta będą się czuli nieco oszukani.

Ettore Scola znany jest u nas jako

autor satyrycznych komedii („Komisarz Pepe” i „Dramat zazdrości”), w których czerpie obficie z arsenału niemal surrealistycznej parodii, używał sobie wiele na wadach swych rodaków. Sięgając po tekst Dürrenmatta, nie starał się zgłębić psychologicznego wymiaru jego dociekań dokonywanych w sferze uniwersalnej problematyki winy i kary. Zrealizował komedię w stylu włoskim, w której krzyżuje się satyra obyczajowa i społeczna, a moralistyczna aura filmu przede wszystkim w nich ma swe źródła. Zrezygnował też Scola z nieco metafizycznego klima-

tu opowiadania Dürrenmatta, w jego filmie wszystko daje się wytłumaczyć, najczęściej przez paradoks co prawda, ale daje, jako że nawet atrakcyjnie upostaciowane fatum może być wynajęte.

Alfredo Traps z opowiadania Dürrenmatta stał się w filmie Alfredem Rossi, kreowanym w jedyny dla niego sposób przez Alberto Sordiego. Pan Rossi, przedstawiciel amerykańskiej firmy tekstylnej we Włoszech, przybywa do Szwajcarii, by unikając podatkowej przemoey, zdeponować tam oszczędności. Uwodzielijski Włoch w pogoni za piękną nieznaną młodą trafiła do starego zamku i uczestniczy w zdarzeniach, które wymyślił kiedyś Friedrich Dürrenmatt. A było to, jak pamiętamy, tak. Kilku emerytowanych prawników, gościnnie przyjąwszy zabląkanego, zaproponowało mu grę — zabawę, był nią improwizowany wprawdzie, lecz nie zwykły wnikiwy proces, w którym oskarżony był gość, a gospodarze pełnili funkcje sędziego, prokuratora i adwokata.

Nie inaczej rzecz toczy się w filmie, lecz prowadzi do nieco innego

finału, przy którym nawet trudno powiedzieć: „na jedno mu (oskarżonemu) wyszło”, jako że pan Rossi Sordiego do końca gry pozostaje zadowolony z siebie — panem Rossi, który jedynie przyjął zaproponowane reguły zabawy. U Dürrenmatta starszowie — prawnicy pełnili inną nieco funkcję, a ich podsądny posiadał coś, co nazywamy sumieniem. Dürrenmatt znalazł jeszcze człowieka, Scola zaś tylko znakomicie funkcyjną ludzką kukłę, w której życiu pojęcie winy, a zatem i innych wartości moralnych, nie istnieje. Tak to zmieniając bohatera, zmienił Scola nie tylko gatunek utworu, ale i jego ogólną wymowę. Satyryczna komedia Scoli odstania bowiem nie mechanizmy psychologiczne, jak u Dürrenmatta, lecz układy społeczno-obyczajowe, z których wyrzucano jakikolwiek determinanty moralne i których klasycznym twórcą jest pan Alfredo Rossi.

Ettore Scola pracował jednakże na tekście Dürrenmatta. By smak zaproponowanej w nim gry nie stracił swych walorów, musiał reżyser włoskim przygotowom przydać innych

jeszcze ingrediencji. Toteż włoszczyzną Alberto Sordiego znakomicie równoważy szkła francuska. Jego sędziami są w „Kraksie” Michel Simon, Pierre Brasseur i Charles Vanel, od których to nazwisk można dostać zawrotu głowy.

Klasa aktorstwa tego filmu równowagę może wszystkie inne wątpliwości czytelników Dürrenmatta. Więcej jednak, to właśnie ci aktorzy wnoszą do filmu Scoli ową wytłumaczalną wprawdzie w końcu, ale jednak niezwykłość. Cienkość prowadzonej gry była konieczna i Ettore Scola wiedział, kogo do niej zaprosić, mimo że operując paradoksalnie niespodzianek wprowadza nas co chwila w wymiary rzeczywistości, z którą nie kryje się nie z metafizycznie-symbolicznej sytuacji z opowiadania Friedricha Dürrenmatta. W „Kraksie” Ettore Scoli świat jest nag.

EWA NURCZYŃSKA

FILM O SZTUCE

Filmy o sztuce stanowią poważną część produkcji Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. A to, że wytwórnia ta może wykazać się znaczącym i naprawdę cennym dorobkiem w tej dziedzinie, nie jest sprawą przypadku — wydaje się być wynikiem prawidłowego i konsekwentnego wykorzystywania możliwości tkwiących w tym gatunku twórczości filmowej.

Film ma przecież umiejętność w zupełnie wyjątkowy i nieosiągalny dla oka ludzkiego sposób rozbijania rzeczywistości na najmniejsze elementy — w zbliżeniach kamery, by następnie przedstawić ją w ogólnym ujęciu, stwarzając w niej zupełnie zaskakujące konteksty, w których dzieło nabiera nowych, nieoczekiwanych znaczeń i przemawia do wrażliwości estetycznej obserwatora w zupełnie inny sposób niż oglądane w wystawowej sali lub albumie reprodukcje.

Sledząc historyczny rozwój filmu o sztuce, jak i oglądając filmy powstające współcześnie, można zauważyć występowanie jakby dwu uniwersalnych modeli, dwu typów tych filmów. W pierwszym z nich, który narodził się jeszcze w fazie zafascynowania kina samą możliwością rejestrowania rzeczywistości, dzieło sztuki stanowi przedmiot centralny zainteresowania kamery. Film zapoznając widza z dorobkiem artysty posługuje się stereotypowymi sposobami przedstawiania dzieł. Ma charakter katalogowo-albumowy. Na ekranie pojawiają się obrazy, rzeźby lub grafiki usystematyzowane w jakiejś logicznej kolejności (tematycznej bądź też chronologicznej). Film ten korzysta ze zbliżeń ukazujących poszczególne fragmenty dzieł, najczęściej jednak ogranicza się do przedstawienia ich w planie ogólnym. Na tym tle komentarz wygłaszany zostaje przez fachowego krytyka lub historyka sztuki.

Funkcja tych filmów jest przede wszystkim informacyjna — zmierzają one do przekazania odbiorcy jak największego zasobu wiedzy o wybranym dziele, twórcy lub epoce. Cel swój osiągają z jednej strony przez bogactwo materiału ikonograficznego, z drugiej zaś poprzez wspomniany, silnie syntetyzujący wiadomości komentarz krytyczny.

Drugi model filmów o sztuce, o wiele bardziej dyskusyjny, którego genyzy należy szukać w dokonaniach filmu belgijskiego i włoskiego w schyłku lat trzydziestych i w początkach lat czterdziestych tym przede wszystkim różni się od przedstawionego powyżej stereotypu, że akcenty dominujące przesuwają się tu z funkcji informacyjnej w stronę tendencji

do bardziej subiektywnego, osobistego kreowania rzeczywistości, w której przedstawione dzieło, zajmując w dalszym ciągu pozycję nadrzędną, staje się materiałem do swojego jakby powtórnego „stwarzania się” w filmie.

Oglądając filmy, o których mowa, przestajemy mieć wrażenie, że pokazuje się nam album z reprodukcjami zaopatrzonymi w przypisy. Dzieło sztuki i jego twórca stają się tu jakby pretekstem do zbudowania fabuły filmu i rzeczywistości filmowej, poprzez którą reżyser stara się wyjaśnić nam uwarunkowania dzieła i pokazać je w sposób możliwie jak najbardziej przystający do klimatu twórczości artysty. Głównym tematem staje się tu akt artystycznej kreacji.

W realizacji tych filmów, określanych mianem „kreacyjnych” lub niezbyt trafnie — „autorskich”, wstąpiła ranga specyficznych środków technicznych, jakimi posługuje się film.

Dzieła sztuki są nierzadko przez obiektywy kamer deformowane. Film stara się wszakże stwarzać, bez posługiwania się słowami, określone nastroje psychiczne u widza, zarówno poprzez swoją niezwykle często wizyjność, jak i oddziaływanie warstwą muzyczną, stanowiącą czasem jedyną „komplementację” do obrazu.

Wydało się, że nie zachodził potrzeba wartościowania wynikającego z konfrontacji dwu przedstawionych tu typów filmu o sztuce. Każdy z nich stawia sobie inne cele i zmierza do nich korzystając z różnych możliwości technicznych środków filmowych. Filmy pierwszego typu to jakby ilu-

ci Daniela Mroza. Dzieło to — nie waha się użyć tego słowa — najbardziej chyba z dorobku wytwórni w ostatnich latach zasługuje na szczegółowe omówienie, najściślej skłania do głębszych refleksji.

Niewiele mniej interesujące od wymienionych filmów są takie ambitne pozycje, jak Józefa Robakowskiego film o Tytusie Czyżewskim z doskonałą muzyką Zygmunta Konicznego i „Ludzkie — nieludzkie” o grafice Leszka Różgi zrealizowany przez Tadeusza Stefankę. W filmie tym rolę komentarza spełniają między innymi wiersze Stanisława Grochowiaka.

ryzykują możliwość stania się przede wszystkim jej manifestem — a ten nierzadko jest w znacznej rozbieżności z dokonaniem artystycznym, które przecież zawsze pozostaje jedynym pełnym swoim świadectwem.

Podobnych i innych niebezpieczeństw tkwi w filmie o sztuce również wiele, co nie wykorzystanych jeszcze jego atutów. Jedno nie ulega wątpliwości — film ten można w dorobku twórczości polskich artystów krótkiego metrażu postawić na jednym z najwyższych miejsc zarówno ze względu na ambiencję zainteresowań, jak i na ich rezultaty.

Do problemów natury artystycznej dochodzą jednakże, jeszcze nie rozwiązane w zadowalający sposób, kwestie użytkownika i rozpowszechniania filmów o sztuce. Wspomniana powyżej przydatność tych filmów w szkole nie podlega dyskusji. Niestety sprawa właściwego ich wykorzystania, na miarę zasobów filmoteki wytwórni i ich możliwości produkcyjnych, nie wygląda najlepiej. Filmy te produkowane są w znacznej liczbie „w próżnię” — zarówno ze względu na większą ilość filmów krótkiego metrażu w stosunku do fabularnych, w wyniku czego odpada możliwość pokazu pełnego dorobku w normalnym rozpowszechnianiu — w kinach przed projekcjami filmów pełnometrażowych, jak i przez częstą rezygnację z ich przedstawiania przed filmami szczególnie długimi.

Dla wielu z nich — w tym także dla filmów o sztuce — najwłaściwszym miejscem byłaby właśnie szkoła. Niestety z wielu względów nie znajdują one w niej należytego zastosowania.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI Dla kogo ten trud?

strowane informatory o wybranym temacie, gromadzące w zasadzie wiedzę prawie wyłącznie encyklopedyczną. Przeznaczane być mogą przede wszystkim jako pomoce naukowe w szkołach do realizacji celów dydaktycznych. Drugi typ filmu o sztuce wyraża jego ambiencje stawania się sztuką. Poetyckość i subiektywizm świadomy tych filmów stają się najistotniejszą ich wartością.

Z filmów wyprodukowanych w Wytwórni Filmów Oświatowych wiele mieści się w tym, drugim z wymienionych, modelu: Najbardziej znany jest chyba, klasyczny z tego gatunku twórczości filmowej w Polsce, wielokrotnie nagradzany film Andrzeja Papuzińskiego „Bykowi chwala” z 1971 roku, którego tematem jest twórczość plastyczna Franciszka Starowieyskiego.

Filmowi temu nie ustępuje w umiejętności kreowania wizyjnością niezwykłego klimatu doskonały film, doprawdy rewelacyjny debiut, Piotra Andrejewa „Idźcie Mróz” o twórczo-

Z najnowszej, bo tegorocznej produkcji, wymienić należy dwa filmy. Pierwszy — o znanym medalierze Józefie Stasińskim — „Suta z brazu” autorstwa Kazimierza Muchy, drugi — nieco mniej udany od przywołanych dotychczas — „Konstantego Mackiewicza, życie, sny, marzenia” Jerzego Kotowskiego i Mieczysława Lewandowskiego. Mniej udany, bo stanowić on może przykład na poparcie stwierdzenia, że przekazanie wiódzącej roli w komentowaniu samemu artyście, nie zawsze przynosi pożądane rezultaty.

Skoro wymieniony został tu ten film, warto zasygnalizować pewne niebezpieczeństwa czyhające na twórców wybierających ten sposób zapozowania odbiorcy z twórczością i postacią artysty. Nie nawiązując już bezpośrednio do filmu o Konstantym Mackiewiczem, trzeba stwierdzić, że filmy mające ambiencje przedstawiania sylwetki twórców i niejako dopuszczając ich do publicznego wyrażenia sądów na temat własnej twórczości,



Fot. Włodzimierz Paryś

TEATR

„PAN COGITO” W POSZUKIWANIU SENSU ISTNIENIA

„Szemkel Szemkel — sarkają aniołowie dlaczego nie jesteś doskonały”

Z. Herbert „Siódmy anioł”

— Dlaczego takiego wyboru dokonał Kazimierz Dejmek? — zapytał podsłownie mój przyjaciel, znawca i wielbiciel poezji Zbigniewa Herberta. Rozmawialiśmy o spektaklu Kazimierza Dejmka „Siódmy anioł” — Można przecież było uzyskać tę samą fakturę, może bardziej jednorodną, korzystając tylko z tomu „Pan Cogito”.

— „Szemkel Szemkel — dlaczego nie jesteś doskonały. Każdy wybór byłby przecież do podważenia — powiedziałem. Istotą twórczości natomiast jest to, aby dokonany już wybór stał się własnością artysty.

— Tak, zgoda, ale Kazimierz Dejmek widzi w centrum swojej twórczości współczesnego człowieka uwikłanego w dramat, któremu na imię życie. Natomiast Zbigniewa Herberta interesuje człowiek, który wyrwał się z porządku natury. Dla niego jedność świata nie jest zupełna. Między świadomością ludzką a niewinnie

bezgrzeszną resztą ziemi powstała bolesna rana. „Świat zaczął się bez człowieka i skończył bez niego” — powiedział C. Levi-Strauss. A potem wszystko powraca do dawnego bezgrzesznego ładu.

„Czy popiół tylko zostanie i zamę, Co idzie w przepaść z burzą? — czy zostanie Na dnie popiołu gwiazdzisty dyament, Wiekiustego zwycięstwa zaranie!...”

Tego norwidowskiego dylematu Zbigniew Herbert nie rozstrzyga, ale sugeruje nam „że w jego świecie zjawiona będzie gotycka katedra, żołnierz, który umiera na polu z twardą w trawie, Dedal, który „pozostał ptakiem, malarz”... z kotem w kieszeni

fantazją dobroduszną i nieświadomą ręką, która poprawia świat”. („W pracowni”)

i człowiek, który trzymając w ręku kamienie czuje ich „ciężki wyrzut”

i tęskni do tego, żeby wyczytać porozumienie w spojrzeniu kota”.

— Nie dostrzegam tu żadnej sprzeczności. Kazimierza Dejmka interesuje przecież synteza doświadczeń teraźniejszości z wartościami dzieł cywilizacji, mitu i natury. A są to, przynajmniej w kategoriach najistotniejszych w twórczości Zbigniewa Herberta. Ale wróćmy do punktu wyjścia i zapytajmy raczej o to, czy propozycja dramaturgiczna Kazimierza Dejmka wyrosła w zgodzie ze strukturą dramatów oryginalnych Zbigniewa Herberta? Wydaje mi się, że podczas, gdy w jego utworach dramatycznych istnieją dwie twarze każdej rzeczy i to dwie niejednokrotnie sprzeczne twarze, u Kazimierza Dejmka daje się zauważyć pewną jednorodność ideową i konstrukcyjną. Łączy ona „Obronę Templariuszy” (część I) z „Llistami naszych czytelników” (część II) i z częścią trzecią złożoną z wierszy tematycznie uporządkowanych. „Obrona Templariuszy” — to monodram o aspekcie historycznym, „Llisty naszych czytelników” — to współczesny reportaż literacko-społeczny, część trzecia — to poetycka parafraza uwarunkowań człowieka w świecie rzeczy.

— A jednak sprzeczność istnieje.

Dwie twarze czy jedynopodność? — zdecyduję się.

Nie ma sprzeczności między ideą poety a ideą animatora teatru. Bowiem nie chodzi tu o samą ideę, lecz o jej „przedstawienie”. W „Obronie Templariuszy” Mieczysław Volt wykorzystuje formę mowy obrończej z jej rytuałem retoryki mowy i gestu do „przedstawienia” idei człowieczeństwa w odwiecznym dramacie istnienia. Środki, którymi dochodzi do takiego efektu są niepomierne oszczędne, a jednak wymowne i sugestywne. W części drugiej aktorki (Władysław Dewoyno, Tadeusz Szmidt, Ryszard Dembiński i Ryszard Sługowski) przedstawiała te same idee tylko w sposób udratyzowanego reportażu, rozgrywanego wg konwencji „teatru faktu”. A w części trzeciej Andrzej Maj, Bogusław Sochnacki i Jan Zdrolewski przekazują w konwencji poetyckiej swój komentarz do tej idei — zbyt emocjonalny komentarz przekazywa w odbiorze poezji, a wiersze Zbigniewa Herberta wymagają spokoju i umiarkowania. Donośro słuchacz, czy czytelnik podlegać powinien nastrojom i emocjom.

— Nie sądzę. Wszakże aktor jest także czytelnikiem, podlega tym samym prawom. Wnikliwie tylko analizuje wiersz, stara się go przełożyć na swój język, język jego sztuki. Przekazuje nam, odbiorcom, swoją własną interpretację, odmalowuje stany emocjonalne, znajdując własny stosunek do świata przedstawionego przez poe.

— Ale ileż tu światów. Świat o „podwójnej twarzy” Zbigniewa Herberta, jednorodny świat Kazimierza Dejmka i wielość „przedstawień” idei i wreszcie stosunek aktora do tego świata, tak bogatego, złożonego, jednorodnego... itp., itd.

— Otóż to, pozornie istnieje tu sprzeczność, ale, kiedy szukamy ekwiwalentu teatralnego, aby „oddąć” poezje, kiedy jednotworzywowa sztukę „przedstawiamy” wielotworzywową, ta pozorną sprzeczność zaczyna nabierać wartości świadomego wyboru.

— A świat scenografa, czy jest także jednostkową wypowiedzią artysty? — zapytał mój przyjaciel.

— I tak, i nie. Nie, bowiem w teatrze scenografia — to jedno z wielu tworzyw. Tak, bo, jak chce Zbigniew Herbert: „Przedmioty martwe są zawsze w porządku i nie im, niestety, nie można zarzucić. Nie udało mi się nigdy zauważyć krzesła, które przestępuje z nogi na nogę, ani łóżka, które staje dęba. Także stoły, nawet kiedy są zmęczone, nie odważą się przyknieść. Podejrzewam, że przedmioty robią to ze względów wychowawczych, aby wciąż nam przypominać naszą niestałość”.

— A więc świat rzeczy, „studium przedmiotu”, ludzkie marzenie: „najpiękniejszy jest przedmiot, którego nie ma”. Zbigniew Herbert i Kazimierz Dejmek chcą żyć w świecie realistycznym, gdzie człowiek szuka sensu swego istnienia.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Zbigniew Herbert „Siódmy anioł”. wybór utworów i opracowanie sceniczne: Kazimierz Dejmek, scenografia: Iwona Zaborowska, Mała Sala Teatru Nowego, premiera 14 listopada 1974 roku.

Gwałtownie szarpnięte drzwi porwały za sobą prąd powietrza, który zerwał doniczki z otwartego okna. W drzwiach stanął Damian, jego rudawe włosy zamigotały w świetle skłaniającego się ku zachodowi słońca.
— Wy no tam popatrzcie na pole! — krzyknął. — Tam krowa wzdęta. Matka zbiegła z ganku Antoszki. Ja wyszedłem ze stanowiska końskiego, gdzie zadawałem obrok.
— A ty nie mógł popatrzeć!? — rzuciła się z pretensjami do syna.
— Toż był na polu, czy nie?
— Ja mówię jedno — odparłem spokojnie. — Nie należy wyprowadzać krowę, jak jest mokro na konie, czynnie. A mama nie słucha. — Właśnie tego dnia objawiła wyjątkowo inicjalny gospodarski.
— Tu nie ma co słuchać, tu trzeba iecić.
— Już lecę.
Ale matka nie czekając na nic, sama pobiegła na pole. Nawet zdziwiłem się, że tak sprawnie. I zanim wyszedłem nad staw, już prowadziła krowę.
— O! dogospodarzili się! — biadała. — Najlepsza krowa przepadnie. — Na, bierz! Na co czekasz? — Krzyknęła na mnie. — Trzeba coś zrobić! „Sektor socjalistyczny” przerwał rozmowę i czekał z uwagą na dalszy rozwój wydarzeń. Przejąłem łańcuch z rąk matki, która z kolei przynaglała krowę do pośpiechu galezią, ale krowa jak zwykle wlokła się nogą za nogą, opierając się tym więcej, im bardziej się ją ciągnęło.
— Nic jej nie jest — próbowałem łagodzić sytuację, pragnąc zapobiec gorszącym wyskokom matki na podwórzu.
— Nic nie jest! Ty się znasz na czymkolwiek. O, Boże! Co to za człowiek!

Wyrwała z moich rąk łańcuch i dysząc z wielkiego wzbudzenia, a zapewne i wysiłku, ciągnęła krowę do stajni. Środowa wymieniła spojrzenie z Gangrenowską, co miało oznaczać: „Ale ma chłop za swoje, nieprawdaż?” Jednak sprawa przeniosła się do stajni. Za chwilę przybiegła tu Antoszka. — „Oho — powiedziała Środowa — ta dopiero narozrabia! Idź no pan tam! — zwróciła się do Gangrenowskiego, który posłusznie wstąpił z krzesła.
— Dawaj wiecheć! — komenderowała matka. — Pysk, pysk krowie otwieraj! Ach, człowieku, gdzie ty się chowa! W lesie!
Niech mi czytelnik wybaczy, że czasem użyję zastanawiająco niewłaściwych określeń, które mogą nawet wzbudzić mimowolny humor. Ale czynię tak za moimi postaciami. To są autentyki.
— O to właśnie chodzi, że nie w lesie — pomyślałem spocyno i zgorączkowany pośpiechem matki. Ciągłe odnosilem wrażenie, że sytuacja jest tak groźna, jak krzyki matki, a teraz już i Antoszki. Wprawdzie krowa miała jeden bok wyniesiony ponad normalny poziom, ale drugi wcale nie był wzdęty.
— Przebijak trzeba, gdzie jest przebijak!? — dołączyła się do krzyków Antoszka.
— Z przebijakiem nie ma co się spieszyć — przekonywałem — jeszcze czas na przebijak. Przecież krowa na kwartał straci mleko.
— To co, że mleko!? — zaperzała się coraz bardziej Antoszka. — Mam, nie słuchaj tego! On nie wie. — Ja tymczasem miałem pięciominutowy bok i uderzałem kolaniem pod brzuch, choć było to ryzykowne, ponieważ mogło doprowadzić do pęknięcia żołądka. Z drugiej strony robił to samo Gangrenowski. We drzwiach stanął Damian z narzędziem do przebijania boków wzdętej krowy.
— No, dawajcie, bo nie mam czasu! — przynaglał, wymierzał cios.
— Nie trzeba jeszcze — stałem ciągle na swoim stanowisku i nie ustawałem w masowaniu boku.
— To durny, będzie czekał, aż krowa pęknie — warknęła z obrzydzeniem Antoszka.
— Pęknie, to pęknie — rzekłem pryncypialnie — będzie świeże mięso.
— O! cholernik! — zakleła siostra. — Przyszedł, żeby nas męczyć. Zameczył już siostrę, teraz chce wpedzić do grobu matkę i mnie.
— Na razie to wysięc wpedziły do grobu oca. Już widzę, jakie tu z wami miał życie.
— My!? — krzyknęły obie chórem.
— Ty z ojcem nie zaczynaj! — wybiła się z partii solową Antoszka.
— Bo ty taki sam, jak ojciec. Tamten nas męczył dwadzieścia lat, to teraz przyszedł drugi — jeszcze lepszys.
— No, to przebijacie? — niecierpliwili się Damian.
— Nie, nie przebijamy! — zdecydowałem stanowczo, czując pod naszkim pięścią, jak bok krowy mięknie.
— Odstap się wreszcie! Do kogo ja mówię? — nacierała na mnie matka.
— Chodź, Damek! Nie patrz na tego wariat! — dodała Antoszka.
A więc padło wreszcie słowo wariata. „No, dobrze” — pomyślałem z gorzką satysfakcją. „O to mi właśnie chodziło. To świetna okazja do porównania oprawców z rodziną. Teraz

stanął między nimi absolutny znak równości”. Poczułem się panem sytuacji.
— Nie odstąpię, mam — powiedziałem — bo nie trzeba przebiegać. Nie pozwolę na marnowanie wszystkiego bez potrzeby. Przecież odpowiadam za to.
W tej właśnie chwili krowa zaczęła obficie gnić.
Odstąpiliśmy od krowy i patrzyliśmy z zadowoleniem na swoje dzieło.
— No i co, wy gospodarze? To ja, mieszczuch, mam bronić krowy przed zmarnowaniem?
Nazajutrz Alicja zgodnie z zapowiedzią udała się do Dobrego — z Helmutem. Poprzedniego dnia, w czasie mego szamotania się z krową (i nie z krową) rozegrała się między nimi jakaś sprawa. Mignęła mi w

podwórze jego sylwetka. Czyżby szli wedle zapowiedzi? Później dowiedziałem się bardzo interesujących szczegółów z tej wyprawy, nie mogę ich już przytaczać, ponieważ nie wiążą się z tematem. A szkoda. Chętnie bym nimi urozumieli ciemny obraz mego opowiadania. Byłby to może ów rebrandowski snop wewnętrznej światła?
Jednakże z Dobrego wróciła Alicja jeszcze bardziej gniewna niż idąc w tamtą stronę. Pożegnawszy więc jak Helmuta, skierowała się wprost do mnie, ale że ciągle byłem zajęty skróżdzeniem, pognała do ciotki. Lecz tutaj scenaria zmieniła się do tego stopnia, że wszystko, z czym przyszła z Dobrego, albo miała przyjść dopiero (razem ze światłem) trafiło sens. U ciotki siedzieli jacyś goście.
— To z Ameryki! — szepnęła tajemniczo rudowłosa Andzia.
Cały ładunek uskładanych emocji, jak już mówiliśmy, rozprysł się niby od wybuchu dynamitu.
— Chodź, Alusiu, przywitaj się z państwem — rzekła taskawie ciotka. — To znajomi wujka Bolka z Kanady, z tego samego miasta...
Dzięki Alicji miałem w tej gościnie częściową relację.
Ta taskawość Antoszki była przymusem woli, gdyż wobec przybyszów z odległości co 10 tysięcy kilometrów występowała ona w tej chwili w roli świętej męczennicy.
— I tak mnie urządził mój tatuścio — zapewne reasumowała już swoje żale ciotka. — Pozwoliła jej go żeby mnie zajął gospodarstwo, wziął sobie z niego jaki hektar i bawił się nim. To nie! Korzystał z cudności, a na ostatek zapisał jeszcze swoją siostrę, a nie chciała iść, to ją utopił...
Amerykanie milczeli dość przykładnie, nie mogąc się zapewne w pięć minut polapać w zawłocinach rodzinnych ich znajomego, czy sąsiada.
— A państwo dawno stamtąd? — zainteresowała się Alicja.
— Przed tygodniem wylecieliśmy.
— To nie widzieliście się już z wujem Bolkiem, bo on wyjechał do Kalifornii.
— Owszem, widzieliśmy się.
— Jakże to?
— Nie wyjechał jeszcze. Spakowany czeka od miesiąca na wiadomości. Nie nie zarabia. Nie wiadomo, co to będzie? Może nawet zdecyduje się na Polskę.
— I nie nie pisze?
— A co on ma piisać? — odparowała Antoszka, w widoczny sposób ożywiona, że i drugi brat leży. — To jemu trza piisać, co tu za nieszcześnie wybrała się z tym jego „administratorem”. Toż to śmiech ludziom powiedzieć — zwróciła się do Amerykanów. — Braciśzek upart się, żeby wszystko posłać, wszystkim zawładnąć, a matce skąpi nawet ćwiartki masła, nawet litra mleka.
— Państwo jednak świetnie wyglądacie, jak na taki sejsly post — ozwał się Amerykanin. — W ogóle stwierdzam, że w Polsce dobrze się jada, na pewno lepiej niż u nas.
— To nie o nas chodzi, to o mamę — skorygowała delikatnie wyglądnice, jak na taki sejsly post — ozwał się Amerykanin. — W ogóle stwierdzam, że w Polsce dobrze się jada, na pewno lepiej niż u nas.
— To nie o nas chodzi, to o mamę — skorygowała delikatnie wyglądnice, jak na taki sejsly post — ozwał się Amerykanin. — W ogóle stwierdzam, że w Polsce dobrze się jada, na pewno lepiej niż u nas.
W tej chwili w progę stanęła matka, która już wdziała się z gośćmi, lecz odeszła, aby złożyć inny strój. Ale także nie wyglądała na zagłodzoną. Owszem, twarz nosiła żółtawy, niedrowsy odcień. Jednak miała w sobie z 80 kilogramów wagi. Amery-

kanin ocenił to od pierwszego rzutu oka, ponieważ tam należało to do charakterystyki człowieka.
— Oglądałam pierwszą komunę — zabrała głos Amerykanka — bo jestem w kraju dawniej niż mąż.
Niestety, nie znam szczegółów wyglądowych gości zza oceanu, gdyż nie rozmawialiśmy na ten temat z Alicją, a mnie samemu nie dane było ich spotkać.
— Z przyjemnością patrzyłam na równiutkie czwóreczki chłopców i dziewcząt — kontynuowała Amerykanka — ubranych w nowiutkie mundurki i sukienki. Te ostatnie nie-razdko do kostek, przyozdobione welonami, koronkami, mirtem. Mimo woli pomyślałam o swojej komunii przed wojną i muszę wyznać — wyglądała wówczas znacznie skrom-

— Pamiętaj, oni tu szyją tatusiowi dobre buty. Damianowa odgrażała się, że go jeszcze posadzi.
„Front socjalistyczny” niedwuznacznie opowiadał się po mojej stronie. Alicja ledwie wydobyła się z objęć Środowej, która dalej czaiła się w sionce. Od niej też otrzymałam dalsze, acz utamkowane sekwencje rozmowy, które po zverfikowaniu odmalowały przybliżony tok dalszych wydarzeń. Główny tóbr rozmowy należał do Antoszki, matka raczej moderowała ataki córki. Najbardziej włączała się swym drewnianym altem Kundzia, lecz jej ingerencje miały silę ciężkiej artylerii. Długo czas Antoszka strofowała przy gościach matkę, że nie stawia właściwych żądań synowi.
— On zagladza mamę — peror-

pójdę. Wzięliby mnie za wariata. Prócz tego muszę się jeszcze umyć. Takiego mnie oni na pewno nie chcą. Ale powiedz, coś zalać w Dobro-
— Nic.
— A w mleczarni?
— Nic.
— Dlaczego?
— Wszystko zabrała ciotka. — Ty widzisz? Ona mnie zniszczy. Tam podbiera pieniądze, tu spasa rząpak — już chyba z morgę gęsi wyszczypały. Ze stodoły kury i kaczki nie wychodzą, a jest ich razem ze 100 sztuk. Cała ferma, którą ja utrzymuję, bo ona jest tak pewna, że się napasa u mnie, że im nawet nie daje jesć. W burakach barany dnują i nocują, a jak skrzczałem, to przepalaowała na środku lucerny.
„To moja ojcowizna!” — powiada. Ale ojcowizna czy nie, to na lucernę nie wypuszcza się zwierząt, bo lamią kolana i już roślina nie odrasta. Cóż to będzie dalej? Ha?
— A Środowa mówi o jakichś lekarstwach, które ciotka otrzymuje z Kanady i za które trzeba będzie płacić. Teraz także przywieźli.
— Mówi o lekarstwach, o skradzionych snopach jęczmienia, o sliwach. Zresztą o czym ona już nie mówi? Wystarczy, kiedy pójdę w pole, to tutaj zaraz robi się pogrom. Tamia przyjeżdża z wozem, ta koskami wynosi. Jezusie Nazareński, czyż Ty był w takich opalach?
— No, no... Niech tatuś nie bluźni, tylko się pośpieszy!
— Już, już... Myję drugą nogę — odezwał się tym razem z kuchni.
— Chyba, że na nie umyła założę czystą skarpetkę, i tak nie będzie wiadać, ale gdzie ona? Podaj no mi tam ubranie z szafy. Muszę jakoś wyglądać. Myślę, że kiedy Ezoпа prowadzona na jarmark, to nie tyle nadstawił swój umysł, co muskuły, żeby zdobyć możliwie najlepszego nabycwę. Zresztą! — stanąłem nagle w miejscu. — To oni powinni przyjsć tutaj. Przecież stryj Bolek przysłał ich na oględziny, czy jemu warto tutaj przyjeżdżać. Cóż oni powiedzą, jak nie zobaczą tego wszystkiego, nie skosztują sami?
Lecz Alicja nie zdążyła nic na to odpowiedzieć, gdyż wpadła z ogromnym krzykiem matka.
— Co wy tu za rozmowy zaprowadzili? Toż oni już jadą!
— Jak to? Czyżby wpadli na 15 minut?
Matka nie nie słuchała.
— Jadą autobusem. — Chodźcie ty wreszcie człowieku!
Ale goście już zeszli z ganku siostry. Widocznie wystarczyło im tego, co zademonstrowała matka i Antoszka. Zanim narzuciem na siebie marynarkę i przysiadłem włosy, byli na szosie. Matka jak płomień sztandaru biegła w ogonie orszaku, który ze wszech stron opływały dzieci. Zanim dobiegłem do przystanku, goście wsiedli do autobusu, a ponieważ kierowca spieszył się zapewne na randkę, autobus odjechał przed czasem. Nawet nie dostrzegłem twarzy Amerykanów.
— O Boże! Cóż to za wicher! Co za szaleństwo? Wyobrazić sobie, co by to było, gdyby przyjechał z Ameryki któryś z braci...
Matka zdyszana od biegu wracała ociężale z przystanku, spoglądając na mnie nagannie, gdy ja mocowałem się jeszcze z kratkami i poprawiałem w półbucie stopę, ponieważ fałda w pośpiechu nalożonej skarpetki gniołła mnie niemiłosiernie.
— Ej, ty bambulo! — odezwała się z gniewem. — Nawet ciebie ludziom pokazać nie można.
Był to najcięższy epitet, którego przed czterdziestu laty używało się na Wołyniu w stosunku do nie lubianego pasierba, do Franka.
„To się nazywa „preferować” coś nad czymś, czy kogoś nad kimś innym”.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

TESTAMENT

(FRAGMENT WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Cały przód kościoła zapełniała skupiona rzesza młodych komunikantów, z których niektórzy zostaną w przyszłości komunistami.
— Miał swój humor, nie ma co mówić — uzupełniła opowieść Amerykanka Alicja.
— A przecież połowa tych dzieci wywodzi się z dawnych folwarków, więc dzisiejszych pegeerów...
— Nie myślcie, państwo, my mamy oczy otwarte i wszystko to dobrze widzimy — dodał Amerykanin.
— A w Kanadzie? — zapytała Alicja. — Jak jest z dziećmi w Kanadzie?
Amerykanka zaśmiała się pobłaźliwie.
— W Kanadzie też zajmujemy się dziećmi, ale tam trzeba przede wszystkim pracować.
— Ale to tak jest na Pomorzu i w Poznanskiem — zakwestionowała odmalowany przez Amerykankę obraz Antoszka.
— O, przepaszam! — zawołała żywo Amerykanka. — Byłam także na Białostoczyźnie u siostry i widziałam to samo.
— Na pierwszą komunę matki się starają — odezwała się matka — wie pani.
Antoszka zachowywała uprzejme milczenie, ale widoczne było, że rozmowa przybrała niepożądany dla niej kierunek.
— Nie o komunę tym razem chodzi — zawiązała dialog z matką Amerykanka — lecz o niemowlęta. Jechałam, wie pani, z Hajnówki, autobusem PKS. A tu patrzę, wsiadają na przystanku kobiety, każda z dzieckiem na ręku, pewnie ze sześć. Takie proste kobiety, w wypłowiałych spódnicach niektóre. Myślę sobie, dokąd one jadą. Z rozmowy wyniosł skowalam, że do ośrodka zdrowia — na jakies szczepienie: ospa czy helne-medina. Ale jakież to dzieci były śliczne! Różowitki, czyściutki, każde w spószkach i z czepczkiem na głowie. Przymińmy sobie nasze dzieci wiejskie przed wojną. Brudne, z finka pod nosem, z rozlaną główką. Pomyślałam, że to jednak jest postęp — i to duży!

— Ale Antoszka nie miała czasu na wysłuchiwanie bukolicznych opowiadanie o dzieciach i spószkach. Przyjazd zamorskich gości musiał jej posłużyć do jak najdobitniejszego odmalowania fatalnej sytuacji spadkowego gospodarstwa i nieocności jego dysponenta.
— Jesteś, Alusiu? — zwróciła się do Alicji, jakby ją dopiero teraz spostrzegając. — Biegnij no, niech tatuś przyjdzie. Już wrócił, zdaje się, z pola. Powiedz, że czekamy na niego.
— Ale niech się ogoli i przebierze — szepnęła w przelocie babka.
— Zaraz przyjdzie brat — oznajmiła Antoszka gościom. — Sami państwo zobaczycie.
— Taki tam brat! — fuknęła pogardliwie Kundzia. Siedziała ona nieco głębiej na kanapie i wzięła sztuczne kwiaty na otłarż.
Alicja wybiegła z pokoju, lecz w ciemnej sionce zlapał ją ktoś za lokcie.
— A, to pani! — zdziwiła się, spostrzegając Środową.
— No, i co tam, co tam? — pytała zdyszanym szepceniem lokatorka.
— Nic, przyjechali, rozmawiają.
— Powiedz tatusiowi, niech uważa. Oni przywieźli jakieś lekarstwa — relacjonowała dotychczasowy urobek swego nasłuchu.
— Nie wiem, co pani ma na myśli.

— Boż mama otrzymuje to, co się kobiecie w tym wieku należy? Powinno być co dzień świeże masło — toż mleczarnia, proszę państwa, pod bokiem. Co dzień ćwiartka świeżego masła, słyszysz mama?
— Boż czemu nie słyszysz? — Matka jakoś niechętnie poddawała się temu strofowaniu.
— I śmietana, i mieko — wylizwała troskliwa córka — a do smażenia margaryna. Wszystko, co mama zechce i na co będzie miała apetyt. Mleka całej kany nie odnosić (sama odsawiaa 120 litrow codziennie), zawżek zostawić z pięć litrów na tworzątek. Ten z mleczarni jest na nic. Ja wiem, on by chętnie brał kilogram dziennie, bo to grosze kosztuje. Ale to trzeba zawsze zrobić w domu...
— A boż on za co co? — weszła jej do swoich kontrapunktów Kundzia.
— Bo mama z nim za bardzo cacka się — zgromiła Antoszka.
— To, widzisz, takie głupie serce matczyne. Choć on dla mnie i niedobry, ale to też moje dziecko. — Zapłakala nawet, zdaje się, a był to płacz na pewno nie za mną, lecz przeciw mnie.
— Dziecko, dziecko! — wyduła wargi Antoszka. — U mamy to siedemdziesiąt myśli na sekundę. Trzeba raz jasno sprawę postawić: swoje wziął! — i fora ze dwóra.
— Wziął? — matka nie mogła się zorientować w toku myśli córki. — Na co wziął? Kiedy?
— Na szkołę, mam już zapomniela. A że bil mamę razem ze... z tą swoją żoną, to też mama zapomniela?
Matka poczerwieniała jak ogień, ale nie wyrzekła i słowa protestu. Może to i dobre będzie powiedzieć, że ją bil. Bo kto jej nie bil? Bil ojciec, bila Antoszka, to niech będzie że bil ją syn także.
— To wariat obłąkany! — zdecydowała siostra.
— To szatan! — poprawiła Kundzia, odkładając pod otłarż kwiaty.
— A, bo to prawda temu? — starała się bronić syna matka.
— Prawda! — krzyknęła Antoszka. On nas wszystkich pozamęcza. Taki lot! Utopił naszą siostrę. — Tu Antoszka zaniosła się szlochem. — Wziął siostrę, niby to na wychowanie, wszystko robiła u niego, pilnowała dziecka. A jak była już niepotrzebna, wypędził...
Niestety, nikt nie przekazał reakcji zamorskich gości, którzy tu przyjechali aż spod Vancouver nad Pacyfikiem. To pewne, że nie nie mówili, ale czy suchając baśni o żelaznym wilku można coś powiedzieć? Podobno tylko Amerykanka zapytała, o której najbliższy autobus do B—y. Próbuję sobie wyobrazić ich zdumienie, przestach, panikę... Lecz przeleć od wyobrażenia sobie czegośkolwiek zostałem odcięty formą. Mam pisać o faktach.
Tymczasem Alicja przynaglała mnie do pośpiechu, choć i mnie samemu nie brakowało chęci, by wyjść co prędzej udział w rodzinnej pogawędce. bo Amerykanów uważałem jakby braci per procuram.
— Tam czekają na tatę — niecierpliwiała się Alicja, porwana ważnością chwili. Zresztą sama włączyła się do ekspedowania mnie, czyściła z błota pantofle.
— Właśnie się gołę — zawołałem z głębi mieszkania, gdyż tam tylko było lustro.
— Ale to już!
— Przecież z połową twarzy nie

wala. — Boż mama otrzymuje to, co się kobiecie w tym wieku należy? Powinno być co dzień świeże masło — toż mleczarnia, proszę państwa, pod bokiem. Co dzień ćwiartka świeżego masła, słyszysz mama?
— Boż czemu nie słyszysz? — Matka jakoś niechętnie poddawała się temu strofowaniu.
— I śmietana, i mieko — wylizwała troskliwa córka — a do smażenia margaryna. Wszystko, co mama zechce i na co będzie miała apetyt. Mleka całej kany nie odnosić (sama odsawiaa 120 litrow codziennie), zawżek zostawić z pięć litrów na tworzątek. Ten z mleczarni jest na nic. Ja wiem, on by chętnie brał kilogram dziennie, bo to grosze kosztuje. Ale to trzeba zawsze zrobić w domu...
— A boż on za co co? — weszła jej do swoich kontrapunktów Kundzia.
— Bo mama z nim za bardzo cacka się — zgromiła Antoszka.
— To, widzisz, takie głupie serce matczyne. Choć on dla mnie i niedobry, ale to też moje dziecko. — Zapłakala nawet, zdaje się, a był to płacz na pewno nie za mną, lecz przeciw mnie.
— Dziecko, dziecko! — wyduła wargi Antoszka. — U mamy to siedemdziesiąt myśli na sekundę. Trzeba raz jasno sprawę postawić: swoje wziął! — i fora ze dwóra.
— Wziął? — matka nie mogła się zorientować w toku myśli córki. — Na co wziął? Kiedy?
— Na szkołę, mam już zapomniela. A że bil mamę razem ze... z tą swoją żoną, to też mama zapomniela?
Matka poczerwieniała jak ogień, ale nie wyrzekła i słowa protestu. Może to i dobre będzie powiedzieć, że ją bil. Bo kto jej nie bil? Bil ojciec, bila Antoszka, to niech będzie że bil ją syn także.
— To wariat obłąkany! — zdecydowała siostra.
— To szatan! — poprawiła Kundzia, odkładając pod otłarż kwiaty.
— A, bo to prawda temu? — starała się bronić syna matka.
— Prawda! — krzyknęła Antoszka. On nas wszystkich pozamęcza. Taki lot! Utopił naszą siostrę. — Tu Antoszka zaniosła się szlochem. — Wziął siostrę, niby to na wychowanie, wszystko robiła u niego, pilnowała dziecka. A jak była już niepotrzebna, wypędził...
Niestety, nikt nie przekazał reakcji zamorskich gości, którzy tu przyjechali aż spod Vancouver nad Pacyfikiem. To pewne, że nie nie mówili, ale czy suchając baśni o żelaznym wilku można coś powiedzieć? Podobno tylko Amerykanka zapytała, o której najbliższy autobus do B—y. Próbuję sobie wyobrazić ich zdumienie, przestach, panikę... Lecz przeleć od wyobrażenia sobie czegośkolwiek zostałem odcięty formą. Mam pisać o faktach.
Tymczasem Alicja przynaglała mnie do pośpiechu, choć i mnie samemu nie brakowało chęci, by wyjść co prędzej udział w rodzinnej pogawędce. bo Amerykanów uważałem jakby braci per procuram.
— Tam czekają na tatę — niecierpliwiała się Alicja, porwana ważnością chwili. Zresztą sama włączyła się do ekspedowania mnie, czyściła z błota pantofle.
— Właśnie się gołę — zawołałem z głębi mieszkania, gdyż tam tylko było lustro.
— Ale to już!
— Przecież z połową twarzy nie

U PRZYJACIÓŁ

Wysoki poziom czechosłowackiej sztuki edytorskiej potwierdziła po wcześniejszych sukcesach w Moskwie i w Nicei, wystawa urządzona w Lipsku pod nazwą „Najpiękniejsza książka świata”. W konkurencji wydawnictw książkowych 30 krajów z pięciu kontynentów, dwie książki wydane przez wydawnictwa „Slovenský spisovateľ” i „Tatran” („Litvystata” Aristofanesa i „Pieśń o Słowackim” Pavla Kovsya i Karola Kallaya) uzyskały honorowe wyróżnienia i залезно je do najpiękniejszych wydanych książek na świecie.

Słowacki Fundusz Sztuk Plastycznych (SFVU) obchodził w tym roku czterdzięcioletni rocznicę. Jest to niezwykle pożyteczna i zasłużona dla słowackiej kultury organizacja. W okresie działalności SFVU powstały w Słowacji wybitne pomniki i maza poświęcone wyzwoleniu CSRS i Słowackiemu Powstaniu Narodowemu, opracowano formy plastyczne dla wielu obiektów użyteczności publicznej, kształły architektoniczne i przestrzenne nowych osiedli, szpitali, domów wczasowych i hoteli. Tworzyli świadectwem działalności SFVU są prowadzone prace restauratorskie, dzięki którym zachowane zostaną w swej pierwotnej formie liczne zabytki kulturalne i historyczne. Dojścia także działalność wydawnicza tej instytucji, w ramach której powstało wyspecjalizowane wydawnictwo poświęcone sztuce plastycznej PALLAS. W ramach jego działalności wydane zostały liczne monografie twórców krajowych i zagranicznych, wydawany jest miesięcznik „Vytvárny život” oraz ilustrowany biuletyn „Umenie a domov”. Wazną rolę w działalności SFVU odgrywają galerie nazywane „Dzielo”, które prowadzą w większości miast słowackich sprzedaż oryginalnych dzieł artystycznych dla społeczeństwa. Zasiłką SFVU są liczne galerie plastyczne organizowane poza granicami kraju, (na przykład „Współczesna sztuka słowacka” w Moskwie i „Medialerstwo czechosłowackie i Leningradzie” w Moskwie i Leningradzie) oraz rozpowszechnianie słowackiej sztuki za pośrednictwem własnego oddziału eksportowego SAGA. Oddział ten nie tylko wywozi kompletne dekoracje sceniczne, ale również pośredniczy w zabezpieczeniu fachowej restauracji obiektów zabytkowych.

Bułgarska kultura znajduje się w przededniu ważnych zmian organizacyjnych. Powołane zostaje Narodowe Centrum Twórczości Artystycznej, Działalności Kulturalnej i Środków Masowego Przekazu. Jak wynika z referatu I zastępcy przewodniczącego Komitetu Sztuki i Kultury, Ludmily Ziwkovej, dyskusji i podjęte uchwały, nowo powołowane Centrum skoncentruje całokształt życia kulturalnego w Bułgarii, stając się instytucją ponad resortową. W jego skład wejdą: Komitet Sztuki i Kultury, — jako społeczno-państwowe organy wodzące, Komitet Pras i Telewizji i Radia, Komitet ds. Pras i Związków Twórców (przy zachowaniu swoich szerokich uprawnień statutowych) oraz inne resorty, organizacje i instytucje zajmujące się działalnością kulturalną. Centrum zajmie się też całokształtem wymiany i współpracy kulturalnej LBR z zagranicą. Reorganizacja ta ma na celu skupienie w jednym centralnym organie dotychczas rozdzielonych sił i środków materialnych, przeznaczonego na rozwój kultury, stworzenie jednolitego systemu działalności kulturalnej, rozwoju życia artystycznego, i upowszechniania kultury z zachowaniem specyfiki poszczególnych środowisk i regionów, a także szkolenia i gospodarki wyspecjalizowanymi kadrami pracowników kultury.

Telewizja radziecka zaprezentowała ostatnio pierwszą część złożonego z czterech odcinków filmu, poświęconego znanemu artyście estradowemu, satyrykowi — Arkadijowi Rajkinowi. Mimo że zespół leninградzkiego Teatru Miniatur, którego Rajkin jest kierownikiem, wykazuje dużą ruchliwość i występuje w różnych ośrodkach ZSRR, nakręcenie filmu było poddyktowane chęcią ukazania wspólnie sztuki aktorów i możliwośći jako najszerzemu gronu widzów, którzy nie mieli dotąd okazji podziwiania artysty.

W centrum Moskwy stanie nowy gmach przeznaczony dla drugiej sceny Teatru Małego, który obchodził swe 150-lecie. Nowy gmach odpowiadający funkcjom artystycznym i wymogom nowoczesnej techniki teatralnej będzie elementem nowoczesności z tradycjami teatru uważanego za „akademii rosyjskiej sztuki dramatycznej”. Wiodłównia na 1200 miejsc otrzyma stylowy wystroj. W nowym budynku znajduje się pomieszczenie studio dramatycznego oraz muzeum Teatru Małego.

W kwietniu 1974 roku, po gwałtownej wymianie strzałów ze strażą, z więzienia w Rio de Janeiro zbiegło 34 szczególnie niebezpiecznych przestępców. Przerażeni ludzie za każdym rogiem domu widzieli zacząłnego bandytę. Kiedy do największego domu towarowego w Rio weszło trzech podejrzanych osobników, a jeden z nich podszył wprost do kierownika magazynu i powiedział: „Bądź grzeczny, nie mam nic do stracenia, wisi na mnie ponad sto lat więzienia, a ty masz żonę i dzieci, siedź cicho, a jeśli piśniesz słówko, zastrzelę!” — kierownik bez jednego słowa oddał mu cały utarg.

Tegoż dnia banda wyrostków otoczyła na ludnej ulicy Rio zamożnie ubranego mężczyznę, błyskawicznie oczyściła mu kieszenie, zerwała z ręki zegarek, a z szyi złoty łańcuszek. Wszystko to odbyło się na oczach policjanta, który nie zdążył schwytać małoletnich bandytów. Którejś nocy pewien znany dziennikarz, powracając autem do domu zatrzymał się przed sygnalem świetlnym. Nieoczekiwanie z ciemności wyrósł barczysty dryblas i groząc pistoletem powiedział cicho: „Wyskakuj szybko i bez skandalu. Potrzebny mi jest twój samochód do załatwienia pewnej sprawy. Po tem zostawię go gdzieś w pobliżu”.

Mniej więcej w tym samym czasie w innej dzielnicy w Rio de Janeiro pewien nieszczęśliwy właściciel sklepu nie ulegając groźbom bandyty krzyknął: „Ratunku!”. Kula dużego kalibru przeszła mu przez głowę. W ani jednym z opisanych wypadków, jak to jest zazwyczaj w Rio, policja nie przyszła z pomocą ofiarom. Zupelnie zastraszeni mieszkańcy miasta pozostają właścicielami na lasce losu. Ci, którzy muszą wyjść z domu z nastaniem ciemności nigdy nie wiedzą, czy uda im się wrócić cało i zdrowo. Wzrost przestępczości w wielkich miastach Zachodu, a przede wszystkim w Brazylii, stał się prawdziwym problemem społecznym, który bezskutecznie próbują rozwiązać specjaliści. Jego korzenie tkwią, przede wszystkim, w panujących tam stosunkach społeczno-politycznych. Zdaniem znanego psychiatry brazylijskiego, dyrektora Brazylijskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i specjalisty z zakresu psychiki elementów zdeklasowanych, problem przestępczości może być rozwiązany dopiero wtedy, gdy studiujący to zagadnienie zrozumieją, iż rodzaj je samo społeczeństwo. Tylko rozpatrując przestępczość jako schorzenie społeczne, można znaleźć odpowiedź, czym są owe dzikie zwierzęta, gnężdzące się w betonowych dżunglach wielkich metropolii Zachodu. Kiedy w 1961 roku bandyci dokonali zachwałego napadu na pociąg pośpieszny, pierwszą reakcją społeczeństwa i reporterów kroniki kryminalnej był podziw; wreszcie i w Brazylii dokonano przestępstwa, które może być przedmiotem dumy całego narodu... Prasa hamowała się z trudem, żeby od nadmiaru entuzjazmu nie popaść w niewybaczalny grzech pochwały bandytyzmu. Na „cześnie” i „chwale” brazylijskich bandytów — którzy notabene natchnieni twórców filmowych do nakręcenia głośnego na Zachodzie filmu „Napad na pociąg pocztowy” — w starej, dobrej Anglii „wyczyn” ten powtórzone: tamtejsi gangsterzy także napadli na pociąg pocztowy, grabiąc ogromną sumę pieniędzy. Jeden z głównych uczestników owego „napadu stulecia”, długo wędrując po różnych kra-

jach i kontynentach ukrył się na koniec w Brazylii i znów robi tu niezłe interesy! Znacznym przekształceniom uległ sam typ brazylijskiego bandyty. Do lat 60-tych ci „bohaterowie jednego dnia” byli odszczepieniami społeczeństwa. Nosili niewinne, albo zastraszające pseudonimy w rodzaju: „Blondynek”, „Ryzy diabeł”, itp. Później przeszli na zawodowstwo, zorganizowali się w zwarte grupy, dokonali podziału funkcji. Charakterystyczne jednak, iż najbardziej niebezpieczne bandy były i są zawsze anonimowe. Ich przestępstwa są obmyślane do najdrobniejszych szczegółów, a zdezorientowana policja nie wie, jak i od czego zacząć śledztwo. Jest tak dalece bezsilna, że np. w grudniu ub. roku 50 metrów od Komisarjatu policji obrabowano bank! Jak wykazują protokoły policyjne z przesłuchań zatrzymanych bandytów specjalizujących się w grabieniu aptek, dysponują oni całym parkiem samochodowy ciężarowych, którymi transportują zabrane miedykamenty. Banda dzieli się na cztery sekcje: jedna dokonuje włamań, druga przewozi skradzione lekarstwa, trzecia sprzedaje je paserom, a czwarta „studuje zapotrzebowanie rynku”, żeby wiedzieć, jakie lekarstwa mają największy popyt.

BRAZYLIA
PRZESTĘPCZOŚĆ—
PROBLEM NUMER 1

Transformacja przestępców pociągnęła za sobą zmiany w działaniu organów ścigania. Nigdyś „silni ludzie” policji opierali się indywidualnie, w pojedynkę, na własne ryzyko. Nieraz bywali brutalni i niesprawiedliwi, ale, być może, właśnie dlatego udawali się im stworzyć wokół siebie coś w rodzaju aureoli sławy powiesiociowego detektywa. Wystarczyło, by którykolwiek z nich zaczynał działać w określonym rejonie miasta, a elementy przestępcze ulat- niały się stamtąd niemal natychmiast. W związku z tym władze policyjne Rio postanowiły stworzyć zwartą, operacyjną grupę policyjną, do której włączono by szczególnie utalentowanych funkcjonariuszy policji kryminalnej. I tak powstała wyborowa ekipa policji kryminalnej w Rio de Janeiro. W wyniku jej działania liczba przestępstw w mieście zmniejszyła się gwałtownie i długo utrzymywała się na tak niskim poziomie, że „ojcowie miasta” zaczęli tracić o pełnym zwycięstwie nad światłem przestępczym, twierdząc, iż znaleziono wreszcie klucz do rozwiązania tego palącego problemu. Ale ponieważ między bandytą i policjantem, co nie jest zjawiskiem zaskakującym, zaw-

sze powstaje pewna dwuznaczna, obojętna łączność, wynikająca czy to z fałszywie pojmowanego poczucia wzajemnego szacunku, czy to z próżności, której patrolują żądni sensacji reporterzy gazet, dość że przedstawić ową elitę policyjną ujawnili wkrótce swoje prawdziwe oblicze. I oto skutki: jeden policjant z „wyborowej ekipy” został skazany na 16 lat więzienia za poważne przestępstwo, drugi stanął przed sądem, wielu innych jest skompromitowanych kontaktami ze światem przestępczym. „Wyborową ekipę” trzeba było rozwiązać bo, jak wyraził się jeden z generałów policji brazylijskiej — „policja nie powinna mieć idoliów”. Nie ma sensu mówić o problemie przestępczości — píše publicysta brazylijskiego tygodnika „Manchete” — nie próbując zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób ludzie, a głównie nieletni, wchodzą na śliską drogę przestępstwa. Mieszkańcy Rio de Janeiro pamiętają do dziś niesławnej pamięci Urząd Pomocy Nieletnim. Paradoksalne, ale to fakt: z różnych względów wszedł on do historii kryminalistyki jako autentyczna szkoła bandytyzmu. Policyjna służba śledcza twierdzi, że większą część przestępców, od których roi się dziś w Rio, wysłał swego czasu właśnie z Urzędu Pomocy Nieletnim, nosząc w sercu palącą nienawiść do zasad społecznych, organów ustawodawczych i władz wykonawczych.

Według danych Departamentu do Spraw Nieletnich liczba przestępstw dokonanych przez jego „podopiecznych” w Rio de Janeiro w 1973 roku wzrosła o 23 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Trudności, o których mówi dyrektor tego departamentu i których nie jest w stanie przewidywać, wzbudzają gniew społeczeństwa i w ostatnim rejonie miasta, a elementy przestępcze ulat-

walnie odprężenie. To jest miarą sukcesu naszej polityki, polityki krajów socjalistycznych, która niezmiennie nastawiona jest na utrwalenie pokoju i bezpieczeństwa narodów. Rok 1975 będzie więc z pewnością rokiem nowych powodzeń na tej drodze. Bylibyśmy jednak niepoprawnymi optymistami, gdybyśmy oczekiwali tylko wydarzeń pomyślnych. Są jeszcze rejonu świata niebezpieczne i są siły przeciwne odprężeniu. Mogą one próbować wywoływać napięcia. O tam także musimy pamiętać, zastanawiając się nad tym, jaki będzie nowy rok. Po te, zwyczajowej u progu roku refleksji, zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę na niektórych najbliższych wydarzeniach. Polska swą aktywność w dwustronnych stosunkach udowodniła kolelną wizytą Edwarda Gierka, tym razem na Kubie. Jedne na drugie poikuli państwo socjalistyczne ma na swym koncie wielkie sukcesy. Jednym z największych jest niewątpliwie przetrwanie blokad wyspy i w warunkach jej utrzymywania używanie społecznych i gospodarczych osiągnięć. Były one możliwe dzięki pomocy krajów socjalistycznych. Wizyta i sekretarza KC PZPR służyć będzie ocenie dotychczasowych stosunków polsko-kubańskich i ich dalszemu rozwojowi. Już od pierwszych tygodni nowego roku z pewnością narastać będzie zainteresowanie Portugalii. W marcu bowiem mają się odbyć pierwsze od 50 lat nierzeczne wybory. O 220 mandatów walcząć będą partie lewicowe i centrum, nie składa broni także prawica, którą w dużym stopniu identyfikować trzeba z siłami faszy-

ostrej krytyki są niektóre aspekty ustawodawstwa, pozwalające na pociąganie do odpowiedzialności rodziców nieletnich przestępców. A przecież trudno uciekać się do tych ustaw skoro doskonale wiadomo, że rodzice tych zaniebanych dzieci są pobawieni jakiegokolwiek pomocy państwa. Są tak samo opuszczeni, jak ich dzieci. Nie mają ani środków, ani możliwości ich wychowywania. Problem jest bardzo złożony, ale jedno jest jasne: to właśnie środowisko społeczne, a ściślej mówiąc — antysocjalne, do którego trafia porzucone przez rodziców dziecko, nieuchronnie prowadzi je na drogę przestępstwa. Żeby żyć musiał kradzież, później rabuje i tak zaczyna się aż do zawodowego bandytyzmu. Brazylijscy specjaliści z zakresu kryminalistyki przyznają, że w kraju myśli się tylko o ściganu i karaniu ludzi naruszających przepisy prawa, natomiast nikt się nie troszczy o zorganizowane zapobieganie przestępczości. Oczywiście stoją temu na przeszkodzie względy ustrojowe, co nie ulega najmniejszej wątpliwości. Pewien adwokat z Rio de Janeiro mówi otwarcie, iż każdy bezrobotny aresztowany z jakiegokolwiek powodu, nie mającego nie wspólnego z przestępstwem, ryzykuje represję przez całe życie, policja bowiem musi kogoś aresztować, żeby pokazać, że nie je chleba za darmo. Socjologowie z kolei widzą bliskie związki między wzrostem liczby osób naruszających przepisy prawa i sensacyjnym rozgłosem, nadawanym pewnej kategorii przestępstw na łamach prasy. Zresztą socjologowie od dawna już nazywają kino, telewizję i prasę oraz inne środki masowego przekazu „szkołą bandytyzmu”.

Kryminalożyła żala się, że w Brazylii do dnia dzisiejszego nikt nie myśli poważnie o zawodowym przygotowaniu policji. „A nieprzygotowana policja — jest niebezpieczną policją” — mówią specjaliści. Poza tym w Brazylii nawet kodeks karny nie jest jednaki dla wszystkich. Karze o wiele srożej i częściej biernych niż bogatych, co samo przez się sprzyja naruszaniu prawa. Łatwo to udowodnić choćby na przykład tym, że policja, praktycznie rzecz biorąc, nie poddaje represjom przestępców w krochmalonych koltnerkach... Dane statystyczne ONZ, opublikowane w 1973 roku, stawiają Rio de Janeiro na drugim miejscu w świecie pod względem liczby przestępstw. Trzymilionowe Rio rywalizuje o pierwsze miejsce tylko z Chicago. Ale od 1972 roku sytuacja ulega pogorszeniu: w ciągu tylko sześciu miesięcy 1974 roku dokonano w mieście 300 morderstw rabunkowych. Specjalny wydział policji kryminalnej, który prowadzi śledztwa w tych sprawach, nie rozporządza ani odpowiednimi siłami, ani środkami do walki z gangsterami i przekształcił się w zasadzie w złowieszce archiwum, rejestrujące jedynie nie wylaryte przestępstwa. A nawet jeśli policji uda się wykryć przestępce, często unika ona kar. Wystarczy powiedzieć, że obecnie w Rio de Janeiro „nielegalnie” spaceruje po ulicach około 50.000 przestępców, skazanych przez sąd na odbycie kar więzienia.

JERZY CZECH

CO PRZYNIESIE 1975 ROK NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ?

Na ścianach wiszą już nowe kalendarze. Rozpoczął się 1975 rok. Pierwszym dniom nie towarzyszą żadne dramatyczne zdarzenia. Trwa czas odprężenia. Oczekujemy, że nowy rok będzie dobry: przyniesie radziecko-amerykańskie porozumienie o ograniczeniu zbrojeń strategicznych na przeciąg 10 lat, trzeci etap Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, który ustali i wprowadzi w życie pokojowe zasady współdziałania państw na naszym kontynencie oraz naradę europejskich partii komunistycznych i robotniczych, zaawansowaną w przygotowaniu już dwoma spotkaniami przedstawicieli tych partii. W maju przypada 30 rocznica zakończenia II wojny światowej i historycznego zwycięstwa nad faszyzmem. Najlepszym uczuciem tego dnia może być także rozwinięcie i pogłębienie pokojowych tendencji w świecie, które faktami politycznymi położy kres możliwościom stosowania siły w stosunkach międzynarodowych. W tym kierunku usiłowaliśmy już kawał drogi. Pokojowa polityka krajów wspólnoty socjalistycznej stworzyła sytuację nieodwrotną. Najpewniejszy trwałego pokoju możemy być w Europie. W przeszłości najniebezpieczniejszy z kontynentów jest zaawansowany w pokój. Teraz chodzi o to, aby przejść do wszędzie i zawsze stosowanej pokojowej praktyki w stosunkach między państwami, a dobre zasady tutaj wypraco-

wywane rozszerzyć na inne rejony świata. Na specjalnej kwietniowej oraz na dorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ z łatwością zaobserwować można było wzrost gęty i znaczenia krajów „trzeciego świata”. Kryzys w państwach kapitalistycznych i próby łagodzenia ich skutków — pogłębiły rozbieżności między rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi i krajami rozwijającymi się. Nie są to bynajmniej tylko rozbieżności natury ekonomicznej. Te, choć decydujące obecnie, łatwo przeradzają się w polityczne. Można przede wszystkim przypuszczać, że dadzą one o sobie znać w 1975 roku, gdyż ofensywa „trzeciego świata”, pomyślnie dla niego zapoczątkowana solidarnością w sprawie sprzedaży i cen ropy naftowej, zechęca do dalszego działania w obronie własnych interesów. To zjawisko, tak charakterystyczne dla minionego roku, nie może być traktowane jako przemijające. Zwłaszcza że na placu politycznej siły „trzeciego świata” sprawdziła się w głosowaniu nad uznaniem Organizacji Wyzwolenia Palestyny za reprezentanta ruchu narodowego. Wszystko to rodzi nowe zjawiska — na miarę naszej epoki. Dojrzał je w pełnych wymiarach i umieć wywodzić z nich właściwe wnioski jest zadaniem polityków. Na szczęście — wypracowują oni kierunki swej dyplomacji, biorąc za postawę nie zaognienie sytuacji, lecz

właśnie odprężenie. To jest miarą sukcesu naszej polityki, polityki krajów socjalistycznych, która niezmiennie nastawiona jest na utrwalenie pokoju i bezpieczeństwa narodów. Rok 1975 będzie więc z pewnością rokiem nowych powodzeń na tej drodze. Bylibyśmy jednak niepoprawnymi optymistami, gdybyśmy oczekiwali tylko wydarzeń pomyślnych. Są jeszcze rejonu świata niebezpieczne i są siły przeciwne odprężeniu. Mogą one próbować wywoływać napięcia. O tam także musimy pamiętać, zastanawiając się nad tym, jaki będzie nowy rok. Po te, zwyczajowej u progu roku refleksji, zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę na niektórych najbliższych wydarzeniach. Polska swą aktywność w dwustronnych stosunkach udowodniła kolelną wizytą Edwarda Gierka, tym razem na Kubie. Jedne na drugie poikuli państwo socjalistyczne ma na swym koncie wielkie sukcesy. Jednym z największych jest niewątpliwie przetrwanie blokad wyspy i w warunkach jej utrzymywania używanie społecznych i gospodarczych osiągnięć. Były one możliwe dzięki pomocy krajów socjalistycznych. Wizyta i sekretarza KC PZPR służyć będzie ocenie dotychczasowych stosunków polsko-kubańskich i ich dalszemu rozwojowi. Już od pierwszych tygodni nowego roku z pewnością narastać będzie zainteresowanie Portugalii. W marcu bowiem mają się odbyć pierwsze od 50 lat nierzeczne wybory. O 220 mandatów walcząć będą partie lewicowe i centrum, nie składa broni także prawica, którą w dużym stopniu identyfikować trzeba z siłami faszy-

stwami. Obserwatorzy życia w Portugalii są zdania, że ten skomplikowany kalejdoskop polityczny zaczyna się wyraźnie układać na korzyść sił postępu. Ich sojusz może jednoznacznie ukształtować przyszłość tego kraju. Ciekawie może rozwijać się sytuacja w Grecji, po ostatecznym odrzuceniu w referendum ewentualności powrotu do monarchii. Na polityce kraju ciężko będzie nie rozwinąć przeciw problem cypryjski. Powrót arcybiskupa Makariosa na wyspę wnosi do biegu sprawy nowe elementy. Przyniesie je także sytuacja w Izraelu, incydenty przypominają, że problem nie został do końca uregulowany, a obecnie utrzymujący się stan „ni wojny ni pokoju” może rozdić nowe napięcia. Dlatego niezbędne jest wznowienie prac genewskiej konferencji, za czym niejednokrotnie wypowiadał się Związek Radziecki. Przyszcza się, że najbliższe trzy miesiące będą decydujące dla pokojowych wysiłków, zmierzających do uregulowania konfliktu. Weź także pozostałe do rozwiązania trudny problem palestyński. W swa 30 rocznicę powołania do życia wkład w jego rozstrzygnięcie mogłaby wnieść również Organizacja Narodów Zjednoczonych. Oto niektóre z oczekiwań na 1975 rok, rok który na pewno będzie bogaty w międzynarodowe wydarzenia.

WTOLD SŁAWSKI
9

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

„HONORATKA”

Jednym z częstych zwolani Zbyszka Cybulskiego był okrzyk: „Ja osobicie jestem opowiedziany także za Kieleckie i Rzeszowskie”. Może to dziś dla kogoś traci megalomanię, ale nie było w tym krzyku megalomanii. Cybulski, po prostu, wierzył, że jako artysta i działacz kulturalny (a był przecież także działaczem) jest odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje w Polsce.

Bywają chwile, kiedy żądrozrosze mu tej wiary. Bywają bowiem chwile, kiedy zaczyna wątpić w swoją odpowiedzialność publicystyczną za decyzje urzędników. Ileż to bowiem razy pisał i mówił o braku wrażliwości na tradycję, o nieuczynności, z jaką przekreśla się miejsca i sprawy, z jakich w innych miastach buduje się warstwę tradycji kulturalnych.

Warstwę tę tworzą rzeczy wielkie i małe — i właśnie o tych małych, lecz istotnych, chętnie się zapomina. Zburzona stara i zasłużona księgarnia Gebethnera i Wolfa przy Piłsudskiego, zamieniona na warsztat fotograficzny wiekowy

lokal księgarni „Czytaj” przy Narutowicza... Z dawnej, legendarnej „Fraszki” przy Piłsudskiego 96, przed wielu laty już zrobiono „Defikatesy”, z wiekowej kawiarni Roszkowskiego wymazano wszelkie ślady tradycji, nikt nawet nie pomyślał, żeby choć portret Reymonta tu powiesić...

Pisałem o tym nieraz w naiwnym przekonaniu, że jestem jako pisarz i jako publicysta za te sprawy również odpowiedzialny. Głucha cisza była odpowiedzią. A więc może nie jestem za ową nieuczynność odpowiedzialny?

A skąd tu naraz Zbyszek Cybulski? Bo oto, dowiadując się, że likwiduje się także legendarna „Honoratka” przy Moniuszki, kawiarenkę obróśli tradycją, jak rzadko która w powojennych dziejach Łodzi.

„Honoratka” swoje miejsce w tradycji już ma. Pisano o niej sporo, utrwalił się jej ślad, ale teraz grozi jej likwidacja. Dlaczego? Nie wiem, nie odpowiem na to pytanie i wiem, że nikt mi nie odpowie. Tak mnie nauczyło doświadczenie. Dlatego żądrozrosze Zbyszkiowi Cy-

bulskiemu jego wiary, że odpowiada osobicie za wszystko, co się w kulturze i tradycji dzieje.

Pamiętam taki wiersz z tomu wydanego w 1959 roku. Tytuł: „Dziewczyna z „Honoratki”. Mowa tam o „stolikach okrągłych jak księżyc”. Jest tam nastroj tamtych lat... Stoliczki okrągłe jak księżyc są jeszcze w „Honoratce”. Jeszcze.

Przez te kawiarenki przewinęły się postaci, których nazwiska odnotuje kiedyś historyk. I te kawiarenki też kiedyś odnotują historycy, bo tu przecież trwały dyskusje i spory, z których narodziła się słynna „polska szkoła filmowa” przelomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Warszawa miała swoją „Udziałową” i „Ziemianką”, Kraków miał swoją „Jamę Michalukowa”. Łódź miała cukiernicę Roszkowskiego, potem „Fraszkę” i ma jeszcze „Honoratkę”. Jeszcze ma. Choć przy stolicu nie siedzi już Cybulski, choć w ferworze dyskusji nie zapala się Roman Polański, choć rozjechali się już po Polsce i świecie ci wszyscy, którzy legendę „Honoratki” tworzyli, którzy byli u narodzin tej legendy. Ale przecież przychodzą tu inni, młodsi, którzy tworzą ciąg dalszy tej

artystycznej, cygańskiej legendy owej oazy artystów i kibiców.

Atmosfera i legende artystycznych kawiarni tworzą ludzi, a ludzie przywiązują się do miejsc, do otoczenia, ludzie cenią wspomnienia i sentymenty. Nie wystarczy wywieść sztylu z napisem „Cyganeria”. „Artystyczna”, aby z lokalu zrobić miejsce intelektualnych spotkań. Takie miejsca rodzą się na innych zasadach, których nie są w stanie zrozumieć urzędnicy. More właśnie dlatego tak łatwo, tak lekką ręką przekreśla się te miejsca, przecina się owe tradycje, ciągi legendy księgarskiej, wydawniczej, artystycznej.

„Honoratka” — to był artystyczny azyl, mikroświat i mikrokosmos. Autor wiersza sprzedał lat sześćdziesiąt napisał: „To był jakiś atol, archipelag, czy ja wiem?”

Nie wiem, jaka będzie ostateczna decyzja w sprawie „Honoratki”. Wiem jednak, że jeśli nawet — wzorem smutnych praktyk, zrobi się tu smałaźnie ryb, albo sklep z pasmanterią, to anonimowego urzędnika, który to decyzję podpisze, strażną będą po nocy duchy artystów.

WIDOK

LEWYM OKIEM

VIVE LE CARNEVAL!

Kiedy kilka lat temu zauważono zwiększoną falę urodzin w nowojorskich rodzinach i zaczęto szukać przyczyn, okazało się, że najważniejszą z nich była awaria prądu, jaka zdarzyła się w tej amerykańskiej metropolii dokładnie trzy kwartały wcześniej. Awaria uniemożliwiła miliony ludzi na kilka dni, życie zamartło, komunikacja stanęła, radio, telewizja i kina przestały działać. I niewiele stęgnęły wtedy do starych sposobów spędzania wolnego czasu — i oto, jakie były skutki.

To wcale nie jest śmieszne, to jest tylko dowód, jak w zagęszczeniu i skomplikowanym do niemożliwości dzisiejszym świecie każde zdarzenie może wywołać lawinę zdarzeń wcale nie przewidywanych. Kto jest na przykład w stanie wyobrazić sobie wszystkie skutki, jakie pociągnie za sobą dalsza podwyżka cen ropy przez Arabów?

Gdzieś w okolicach Anglii, ale nie w obrębie jej wód terytorialnych, sterczy z wody kawał skały. Nic tam nie ma i być nie może, skała nikt się nie interesował, po prostu była niezycja, jak całe w tym rejonie morze. Ale podwyżka cen ropy pobudziła naiwniejsze intencje do szukania nowych

źródeł tego bajkowego wręcz surowca. Znalaziono ropę pod dnem morskim, ale pod morzem niczym. Panowie prawnicy, co wy na to?

Proste. Kawałek skały ogląsa się nagle jako terytorium brytyjskie i już w promieniu 50 mil dokoła morze staje się „wodami terytorialnymi” Anglii. Tylko że jednocześnie Dania uważa, że skała powinna być duńska, a Irlandia śpieszy z roszczeniami irlandzkimi. Czy będziemy mieć konflikt duńsko-irlandzki?

Kina w krajach zachodnich przeżywają ponoc wielką prosperity. Dlaczego? Bo benzyna droga i szumne rozjazdy samochodami trzeba było ograniczyć, zresztą także na wyraźne nakazy władz. A jak ludzie uwalą do kina, to może nie będzie już trzeba zwabić ich chwytaniami per fas et nefas, ponizej pasa, ani sięgać do najniższych pobudek, byle handel szedł. Może co ambitniejsi twórcy będą sobie mogli pozwolić na bardziej ambitne filmy — dziesiąte i dwunaste podniesie się do stanu sprzed upowuszechnienia telewizji?

Żadna statystyka nie uchwyci tych małżeństw, które nie dojdą do skutku, bo kawaler nie zdążył na randkę, bo mu

ograniczono szybkość. A może nagle zaczęły świetnie zarabiac producenci żelazek do prasowania, bo koszulki będą z bawełny nie z włókien syntetycznych, bo do produkcji włókien potrzebna ropa? Na razie czytamy tylko z przerażeniem, że dziesiątki milionów ludzi zginie z głodu w przeludnionych krajach „trzęsącego świata”, bo plony w tych krajach spadną, bo do ich utrzymania — nie mówiąc o koniecznym wzroście — potrzebne są sztuczne nawozy, a do sztucznych nawozów potrzebna ropa; czym zapłacą za drogą ropę głodni mieszkańcy Bangladesz i Srilanka?

Ojej, ile trzeba by na świecie zrobić, żeby człowiek mógł w każdej chwili bez nieczyścigo sumienia, bez gorzkich refleksji, cieszyć się życiem! A tu już karnawał w toku i znów lada dzień przeżyjemy, ile osób zatratowano na śmierć na ulicach Buenos Aires w trakcie rozpasanej taranteli. W Stanach Zjednoczonych moda na czarny humor, a tam jak już coś się dzieje — to na skalę gargantuiczną. Więc nikt na bal maskowy nie przebiegnie inaczej, jak za wampira, upióra, potwora i Mansona. Producenci zielonych masek z czarnymi kłami nie mogą nadążyć

za zapotrzebowaniem, a całe stopy kostiumów śmiesznych, pirotowych, pajacowatych, czy też romantycznych motylko-kwiatowych — idą na śmietnik. W tym śalenieście też musi tkwić jakieś perwersyjne, schyłkowe, patologiczne uzasadnienie: bawcie się w otoczeniu upiornego, odrážającego brzydoty, pomiędzy trędowatymi, dusicielami i pokrakami. Ponoc zresztą młodzi ludzi upatrują w tych upodobaniach jakichś cech nowoczesności. Nawet u nas pewien młody grafik opublikował artykuł, w którym odmawia prawa rysowania śmiesznych figurek starszym i świetnym artystom, a żąda całych lamów „Szpilek” wyłącznie dla młodych mistrzów czarnego humoru. Bo tylko czarny jest „nowoczesny”!

Ha, jeśli się uzna, że „ni ma się z czego śmiać”, to może jest jakaś racja w tym, żeby wszystko co by się mogło skończyć choćby mimowolnym, prostym, nie przewrotnym, uśmiechem wyrzucić, wykląć, wykończyć z naszego świata. Na ciągłym w twarze maski wampirowe. Wieszamy na ścianach kolaże z brudnych ścierek, piszemy wiersze o zgnyłych rybach i filmujemy (już przecież Grün relacjonował takie obrazki) mrówki wychodzące szeregami z ludzkiego ucha. Karnawał!

Vive le carnaval, vive le Bacchanal!

ĆWIK

NIE TYLKO HISTORIA

W podręcznikach dzisiejszej metody historycznej stosunkowo rzadko znajdziemy coś o niezmiernie interesującym rodzaju źródeł, jakim są... donosy. Nie ma się z czego śmiać: instytucja donosu jest tak stara jak instytucja władzy, nie tylko politycznej, ale religijnej, wojskowej itd., donosy mają więc znacznie starszą metrykę niż innego rodzaju źródła, notorycznie eksploatowane przez historyków. W przeszłości zjawiskiem występującym wcale często. Historia zajmuje wobec nich postawę wstydlivą: niby o czymś takim nie wie, ale kiedy historykowi trafi się jeden czy drugi donosik, chwytając go skwapliwie, interpretuje z zacięciem, a niejednokrotnie wyprowadza z niego daleko idące wnioski. I jest to po części zrozumiałe. Wcale nie świadczą o pogoni badacza za nie znającymi ciekawostkami, skandalikami, plotkami. Bo powiedzmy sobie otwarcie: czymże innym jak nie donosami, to o łatwej do dostarczenia tendencyjności, są owe tak chętnie i służnie wykorzystywane przez naszych badaczy dziełowi ruchu rewolucyjnego raporty agentów policyjnych, dotyczące najrozmaitszych przejawów „działalności wyrotowej” jak zgodnie określał ruch rewolucyjny zarówno policja carska, jak i nasza polska w okresie międzywojennym.

Donos jednak donosowi nierówny. Prosiłoby się dokonac ich jakiejś klasyfikacji. Propozycję taką nie się wiele; można by więc dziełony na indywidualne i zbiorowe, na instytucjonalne i indywidualne anonimowe i nieanonimowe... Klasyfikacyjna fantazja podsuwa nam jeszcze wiele tego rodzaju podziałów. Co się tyczy do-

nosu, któremu pragne tu poświęcić nieco uwagi, jest on typowym donosem indywidualnym, nosi bowiem wiarygodny podpis autora, adresowanemu do znanej, wybitnej osobistości, a dotyczy... Adama Mickiewicza.

Znalazłem go w zbiorach Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu i nie zdziwiłem nawet sprawdzić, czy i o ile wykorzystali go w swoich pracach nasi mickiewiczologowie. Mniejsza o to, nawet gdyby był on znany badaczom A. Mickiewicza, nie przeszkadza to w naszym jego wykorzystaniu dla celów felietonowych. Chodzi tu mianowicie o list jednej z najbardziej osławionych postaci Wielkiej Emigracji, słynnego Ibusia, czyli Jozefa Bolesława Ostrowskiego, nadzwyczaj czynnego publicysty i po trosze historyka, później tłumacza przysięgłego francuskiej policji, zapalonego denuncjatora, przysługującemu wiele szkody polskiemu emigrantom. Wiadomo też dobrze że ze szczególną pasją zwalczał Ibus A. Mickiewicza, nie tylko otwarcie, w druku, ale i potajemnie, składając szefowi biura cenzurowego w prefekturze policji obszerny memoriał, w którym przedstawiał poetę jako ni mniej ni więcej... agenta caratu. Podobna wymowa ma również interesujący nas donos. Jest nim list J. B. Ostrowskiego do wielkiego historyka francuskiego, przyjaciela naszego poety Julesa Micheleta, niestety nie datowany; z treści jednak wynika, że jest on współczesny z wykładem polskiego poety w College de France. Napisany w kulejacej francuszczyźnie elaborat lączy wyrazy admiringalnego autora dla rozliczonych talentów adresata z nieskrywaną nienawiścią do Mickiewicza; „panski pogląd na pana Mickiewicza —

dowodził bowiem Ibus — przynosi uszczerbek sprawie polskiej”. Zarzucał więc historykowi nieznaną rozpacz „istoty mickiewiczowskiej „wizji i rewelacji”, pomawiał poetę o to, że uważa się „on za... nowe wieniecie ducha Napoleona i własztuna przyszłości, zarzucał wreszcie, że Mickiewicz rozpoczynał swoje wykłady o literaturze słowiańskiej rozpoznając od oznajmienia swego podziwu dla... caratu i namiętani... nas biednych Polaków, mezczeników własnej wiary” do tej porużenia „i uznania władzy cara jako naturalnego reprezentanta Słowian”.

Donos to ciekawy, nie tylko dlatego, że rzuca światło na nieciekawe osobowości jego autora, Ibusa, zmiatając do zerwania związków, jakie łączący Micheleta i Mickiewicza, posłużył się nie tylko insynuacjami, ale i materiałem, zacierpięnym z ówczesnych plotek, które kiebly się w skłóconym emigracyjnym mikrokosmosie. Wykłady w College de France spotykały się bowiem nie tylko z entuzjastycznym przyjęciem, lecz również i ogorowieniem wśród niektórych środowisk emigracji, o czym czasem warto sobie przypomnieć. Ibus wyszkal więc, to co opowiadał przeciwnicy poety, dodał to i owol... wystrzelili. O ile jednak jego wypracowywane w spokoiu, obszerne donosy składane do władz policyjnych przeciw różnym postaciom polskiego emigracyjnego świata dawały niejedenkrotnie „pozytywne” rezultaty, powodujące także czy inne trudności różnym osobom, nie ma najmniejszego śladu aby donos przeciw Mickiewiczowi, postany do Michełta przyniósł zamierzony skutek. Przeciwnie: francuski historyk wciąż utrzymywał jak najlepsze stosunki z pol-

skim poetą, co nie oznacza, że podzielał wszystkie jego poglądy. Czy pokazal A. Mickiewiczowi elaborat Ibusa? O tym nie wiemy. Muzeum A. Mickiewicza w Paryżu, w którego papierach znajduje się dziś ten osobliwy tekst, tworzył syn poety Władysław Mickiewicz, postać o której wiemy wiele, ale stanowczo nie wszystko, zwłaszcza co się tyczy jego młodości, kiedy żył wyrażnie sympatie lewicowe, korespondował i utrzymywał stosunki z różnymi wybitnymi działaczami europejskiej lewicy, jak np. Jean Jauresem. Otóż jest wieć nieprawdopodobne, że to właśnie syn poety włączył donos J. B. Ostrowskiego do muzealnego zbioru.

I jak tu historykowi nie lubię donosów? Cecha charakterystyczna tego rodzaju utworów jest nie tylko to, że dostarczają mu takich bądź innych, często zresztą nieprawdziwych wiadomości, ale i to, że nad wyraz często... zachowywał się do naszych dni w nieskazitelnym stanie, dając świadectwo czasem i... autorom. Znam jeden z paryskich zbiorów publicznych, gdzie znajduje się ogromna teka donosów pisanych przed ponad wiekiem przez jednego emigrantów na druzet do odpowiedzialnych władz polowych. Czy nie jest to ważne i ciekawe źródło dla poznania stosunków między tymi i tak odosobnionymi emigrantami, a także nierzadkimi wstawnymi ludzkimi ambientem? I nie odnosi się to tylko do czasów polskiej Wielkiej Emigracji, z całą pewnością.

LEKTOR

NA POGRANICZU EPOK



Stefan M. Kuczyński jest znakomitym znawcą czasów, kiedy chyliła się ku upadkowi potęga Zakonu Krzyżackiego, a w Polsce rozpoczynała się epoka panowania Jagiellonów. Jest młodym, autorem książki „Wielka wojna z Zakonem Krzyżackim”. Ostatek wydal nakładem „Słask” powiesić historyczną pt. „Litwin i Andegawenka”.

Jest to powieść o Władysławie Jagiellie i królowej Jadwidze. Powieść tym bardziej interesująca, że autor konstruuje jej akcję na tle intryg dyplomatycznych i wojskowych, pokazuje przebieg walki o tron polski arcywno w świetle faktów historycznych, jak i w świetle prawd psychologicznych, zbudowanych w oparciu o dokumenty historyczne, o to wszystko, co przeszłość pozostawiła nam po rękach.

Akcja tej powieści dzieje się na zamkach Wilna, Malborka, Budy i Krakowa. Jagiellie pokazuje autor nie tylko jako megalomanię, doskonalego wodza i taktika, ale też jako kochanka. Rysuje jego postać uwikłaną w konflikty sprządzających się na przelomie epok. Jadwidga natomiast przedstawiona jest jako kobieta przeżywająca dramat posłannictwa tronu.

„Słask” książkę wydał starannie, w pióconnej oprawie, ale — niestety — nie uszeregił się wielu błędów. Errata dołączona do książki jest obfita. Jak wynika z zamieszczonego tam sprostowania następujące treści: „Na drugiej stronie tytułu ochronnego pominięto: Stefan M. Kuczyński PRZE-SZŁOŚC: I. Litwin i Andegawenka, 2. Zawisza Czarna, 3. Politycy”.

Stefan M. Kuczyński — „Litwin i Andegawenka”. Wydawnictwo Słask — Katowice 1974, str. 442, cena: 50 zł.

PROZA LIPATOWA

Twórczość Wlka Lipatowa czytelnik polski miał już okazję poznać nieraz. W roku 1961 ukazała się pierwsza, przetłumaczona u nas książka „Włóczymy”, którą ukazał się „Włóczymy” i wreszcie, w 1974, w Katowicach, w serii „Początek Proza światowa ukazał się w tym czasie dwiema powiastkami „Szara mysz” i „Lida Waraksina”. Lipatow debiutował opowiadaniem, ale parząco zamyślał formę literacką, która jego zamierzeniom odpowiadała najlepiej — krótką powieścią o tematyce wojennej, którą uporczywie, z pasją, ale i wyraznym upodobaniem, penetracyjnie odczytywał, które wspaniale są dla grupy i dziecięcych pisarzy średniego pokolenia. Sięga do zwykłego, codziennego życia, rozumie ludzi żyjących obok niego, ludzi przeciętnych, którzy żyją zadowolonymi, jak wszyscy, takim daniem, że nie przystosowali się do powszechnie obowiązujących norm, obyczajów i schematów, nie zmieniały życie prosto. W „Szarej myszy” będzie to człowieka, który nie jakby z całą świadomością zdecydował się na samozatrucie, w „Lidzie Waraksinie” młoda, zakonana dziewczyna. Lipatow nie sądzi tych ludzi, nie odpowiada jednemu z nich, na pytania, które życie przede nim pozostawił. Nie wiadomo: „co dalej?” i „jak dalej?” i tak, jak w życiu, bohaterowie Lipatowa będą musieli sami uprac się z swoimi problemami, bowiem nikt nie może pomóc człowiekowi w rozliczeniu z samym sobą.

Nowa książka Lipatowa to jeszcze jeden przykład dobrej, rzetelnej i pięknej prozy. Prozy — po prostu o życiu.

Wl Lipatow „Szara mysz”, „Lida Waraksina”, tłumaczyła H. Broniatowska, PIW, W-wa 1974, str. 180, cena 23 zł.

„TU, POD GWIAZDĄ POLARNĄ”

Powieść pod tym właśnie tytułem jest pierwszą częścią trylogii napisanej przez jednego z najwybitniejszych i najpoczątkujących pisarzy fińskich, Väino Linna, ukazała się dopiero po wojnie i swoje późniejsze triumfy literackie zawdzięcza przede wszystkim własnej pracy i wytrwałości. Jest to powieść o wojnie i o życiu w rodzinie zagrodnika, po ten wiele lat, po 1938 roku podjął pracę w fabryce wołkienniczej jako mechanik. Pierwszą swoją powieść, którą ukazał się w Finlandii dopiero w roku 1967. W tej szeroko zakrojonej epickiej powieści, rozpoczynającej się od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, Väino Linna przedstawia, losy niebogatych fińskich wsi. Narastające konflikty społeczne, walka, a przede wszystkim ciężka praca rolników, ich codzienne życie, nie pozabawione głębokimi namysłami, to głównie interesujący pisarza. Toteż galeria jego bohaterów to ludzie z krwi i kości. Väino Linna znał przecież doskonale fińską wieś. Jej klimat, atmosferę wielkich i drobnych codziennych zdarzeń w sposób baczny i sugestywny przedni na karty swojej powieści.

Książka ukazała się w Serli Dzieł Pisarzy Skandynawskich. B.M.

Väino Linna „Tu, pod Gwiazdą Polarną”, przełożyła C. Lewandowska, Wyd. Poznańskie, Poznań 1974, str. 342, cena 60 złotych.

NIE ODRYWAJĄC SIĘ OD ZIEMI

Sa na świecie sprawy, o których nie śniło się filozofom. Wielu krytyków różnych dziedzin twórczości nie spi po nocach tylko z tego powodu, aby stale zważać i nie popełnić pomyłki, aby nie odsądzić od ezi i wiary dzieła, które chwalić będzie potomność. Ale próżny trud, stale rodzić się będą ludzie, którzy swoim umysłem wyprzedzą epokę, i tworzyć będą dzieła, o których nikomu się nie śniło.

Kiedy Konstanty Ciolkowski stworzył podstawy astronautyki, nikt nie brał tego na serio. Wielu nie rozumiało jego prac i myśli. Dziś jeszcze futurologzy z uwagą studiują nie tylko jego propozycje. Pierwszą swoją pracę Konstanty Ciolkowski ogłosił w 1882 roku. W rok później opublikował „Wolną przestrzeń” (dziennik odkrywy astronomii). Ostatni jego publikacja ukazała się w 1935 roku i nosiła tytuł „Fantazja czy loty poza atmosferę?”. Była to 194 publikacja za życia autora. Po jego śmierci ukazało się ich jeszcze 19. W sumie 213 publikacji. A w nich idee, które na ówczesny wydawały się fantazją, a które legły u podstaw astronautyki.

Zycie i prace Konstantego Ciolkowskiego przystępnie i interesująco opisał Andrzej Treпка. Książka „Wizjoner Kosmosu” ukazała się nakładem Wydawnictwa Słask. Powinna ona zainteresować nie tylko miłośników astronautyki, ale tych wszystkich, którzy chcieliby głębiej i bardziej wnikliwie zrozumieć współczesność. Jest to bowiem, nie tylko biografia uczonego, który umysłem swoim wyprzedził epokę, ale książka o naszym współczesnym świecie, o sprawach na nim dziejących się i o naszej wiedzy o Kosmosie.

Andrzej Treпка — „Wizjoner Kosmosu Konstanty Ciolkowski”. Wydawnictwo Słask, Katowice 1974, str. 414, cena: 50 zł.

B.M.

WARTO PRZECZYTAĆ

M. Czerner „Szajna”, Wyd. Morskie, cena 40 zł.
A. Theile „Szuka Atyki”, WAF, cena 50 zł.
E. Kuryluk „Wiedeńska apokalipsa”, Wyd. Literackie, cena 47 zł.
M. Dzeduszycka — „Apocalypsis cum figuris”, Wyd. Literackie, cena 30 zł.
Z. Florczak „Sżuka lamie mleczne”, Wyd. Literackie, cena 63 zł.
A. T. Olmstead „Dziele imperium perskiego”, PIW, cena 100 zł.
„Obroty słów serdecznych”, PIW, cena 40 zł.

GDZIE JEST ZEGAREK?

ce do tyłu, obmacał go sprawnie, po czym wyrzucił z drzwi. Obywatelka Jasia Z. powiedziała, że mogło być różnie.

— Owszem, u mnie było widno, świeciła się żarówka o mocy dwudziestu pięciu watów, więc trochę widziałam, jak było. Jak O. wykreczał temu ręce i przewracał kieszenie, to krzyczałam, żeby tego nie robił. Ta K., siedziała, kiedy mężczyźni się szarpali, i prosiła o spokój. Wtedy J. M. zaczął wrzeszczeć na nią, żeby oddała mu zegarek.

— Przecież ty byłeś bez zegarka, pajacyku mój słodki — powiedziała K., ale już go nie całowała.

Na sto procent nie jestem pewna, kto zabrał ten zegarek, i w ogóle już nic więcej nie wiem w tej sprawie, ponieważ mam słaby słuch i wzrok.

Po tych trzech winach i półlitrze K. niewiele pamiętała, toteż O., nie bacząc na wyrzucenie z łóżka i mieszkania, do niczego się nie przyznawał, usiłując zwalić winę na przyjaciółkę. Ona jednak musiała coś niecoś pamiętać. Przypomniała się jej na przykład, że kiedy wracali do domu, dogonił ich J. M. i prosił ją, aby znieśliła O. do oddania zegarka. Wówczas zaczęła go popychać, aż doszło do szarpantiny, do której włączył się O. bijąc J. M. w okolice klatki piersiowej. Wszelako musiał nieźle go sponiewierać, skoro

lekarz doszukiwał się na jego ciele licznych obrażeń.

O. pokazywał mi w drodze zegarek, po tej szarpantynie prosiłam go, żeby oddał, ale on chciał mnie bić. W domu zajął się dzieckiem, O. rozbrajał się, lecz nim zdążył się położyć, zastukała milicja i nas wzięła. Nie wiem, czy O. miał wtedy zegarek. Może zostawił go w moim mieszkaniu? On jest do wszystkiego zdolny. Już w Lesku skazał go za to, że rąbnął ze sklepu spodnie...

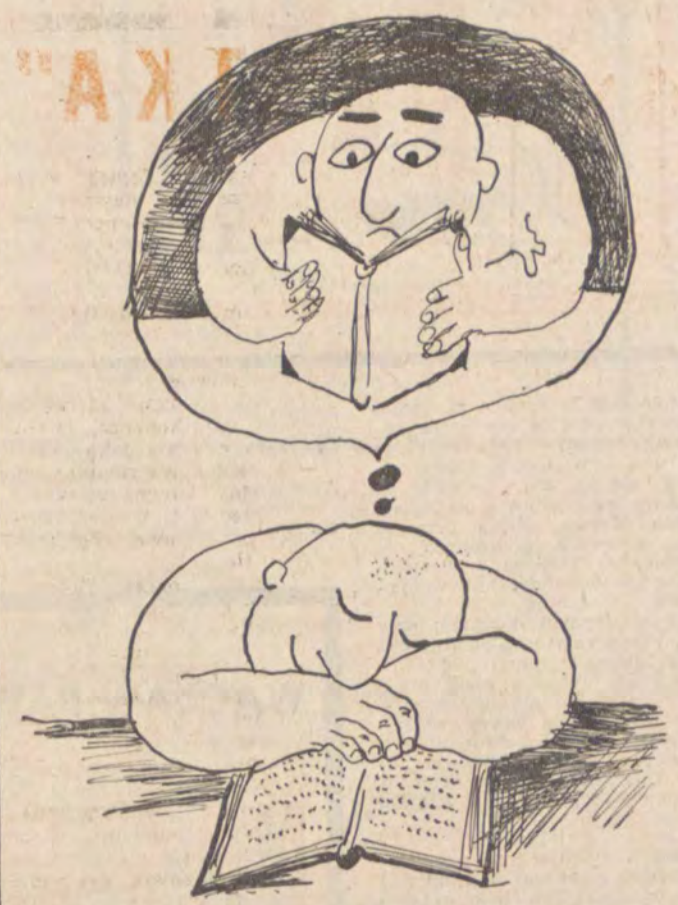
Milicjanci zjawili się szybko, ponieważ J. M. w pobliżu „Stylowej” powiadomił o rabunku dyżurnego funkcjonariusza. Mimo tymczasowego aresztu, przesłuchań, konfrontacji i rewizji, zegarek się nie znalazł. K. mówi, że O. należałoby natychmiast prześwietlić, bo mógł polknąć dowód rzeczowy, co byłoby dla niego lykniecie takiego kragłego przedmiotu, skoro za kratami nadziewają się znacznie ostrzejszymi przedmiotami.

Koledzy zaś twierdzą, że J. M. zawsze był zacofany. Gdyby bowiem nie udał się do kobiety czterdziestoletniej, która słabo słyszy i widzi, lecz do młódk, jako postępowy striker, na pewno niczego by nie stracił i mają rację. Przecież na tapczanie zegarek jest zupełnie niepotrzebny.

JAN GONTAL

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



Dopalal się wieczór czerwo- wy, ob. J. M. wracał rozanielony do domu, buźowała w nim bowiem krew zmieszana z półbasem „Stolowej”, kiedy nagle przystawiła się do niego na ulicy Warwińskiego Jasia Z., kobieta czterdziestoletnia, nigdzie nie pracująca, czasem na tapczanie, ale nieetatowo, i spytała, czy by J. M. nie miał żyłki sztakana gorzalki. Ob. J. M. życzenie miał, więc przymierzyl się do spełnienia tego życzenia, kupując za własne pieniądze pół litra.

W domu zasiadł za stołem, odkorkował butelkę, po której miał ów zaraz tapczan, ale nic nie było, bo w nieodpowiednie chwile do mieszkania wpakował się obywatelka K. ze swym przyjacielem O. Jak się już wpakowali, to i zasiedli do stołu i zaczęli pić te wodki, chociaż O. z K. nie znali J. M.

Jasia siedziała po lewej stronie, J. M. obok K. po prawej, natomiast O. siedział naprzeciw. Jak wypili te pół litra, to O. położył na stole stówę i powiedział, żeby ktoś skoczył po nową butelkę, ale nikomu się

nie chciało, więc schował pieniądze i dalszego picia nie było.

O. wnerwił się mocno, K. się rozmarzyła, bo wcześniej spiła trzy wino, i teraz plakała, że jej dziecko, znaczny jedena- stoletni syn, meczy się samo w mieszkaniu, albowiem dzia- dek mieszka gdzieś indziej, ma siedemdziesiąt lat, rentę, przepuklinę i jest głuchy. Przez to rozmarzenie K. zainteresowała się zegarkiem marki „Atlantic”, bo był ładny, w kopercie z białego metalu, z taką bransoletką, miała tarcza i złotymi wskazówkami, o wartości ty- siac dziewięćset złotych.

— Pokaż mi tego buksiaczka, oj, pokaż! — molestowała J. M. Ten jednak leeb miał jeszcze nie przepity, toteż zdjął zegarek i włożył do kieszeni spodni. Na to obywatelka K. jęła się tulić do J. M. i tak szeptała:

— Pokaż, ciupeciu, nie dry- gaj! Jak mi go pokażesz, Kochać cię będę podwójnie.

J. M. tulił się nie dał, ale całował się z K. Zegarka jed- nak nie pokazał. Wtedy O. wnerwił się jeszcze bardziej, wstał, wykrecił opornemu re-



Fot. ARCHIWUM

ZWIERZĘTA POMAGAJĄ LUDZIOM

Przy leczeniu poparzeń, problemem o zasadniczym znaczeniu jest uzyskanie wystarczającej ilości zdrowej skóry dla dokonania przeszczepów. Do tej pory skórę taką wycinało się ze zdrowego miejsca na ciele słapani. Kilkakrotnie powtarzanie operacji było konieczne, gdyż przy rozległych poparzeniach wykluca się w ogóle wyciągnięcie większych powierzchni skóry, a także, ponieważ miejsca po już wyciętych płatach skóry muszą się zagoić przed pobraniem nowych porcji do przeszczepu. Takie wielokrotne operacje zwiększały groźbę zakażenia. Co więcej, problemu tego nie udawano się do niedawna rozwiązać także przez „hodowanie” skóry na kulturach tkankowych.

Ostatnio udało się tego dokonać uczniom z Ohio Children's Hospital w Akron, Dr Howard J. Igel i fizjolog Aaron E. Freeman rozdrabniają wycinki ludzkiej skóry na małe kawałeczki i umieszczają je na wewnętrznej powierzchni płata skóry świnińskiej. Po 10-14 dniach inkubacji kultury tkankowej, skóra ludzka pokrywa prawie połowę powierzchni skóry świnińskiej. Przeszczepia się ją wtedy na ranę razem ze skórą świnińską. Po około dwu tygodniach ludzka skóra odrasta całkowicie pod warstwą skóry świnińskiej a ta ostatnia wysycha i odpada. Z jednego cala kwadratowego skóry ludzkiej uczniowie zdolali wyhodować 50 cali kwadratowych nowej skóry.

Ta nowa technika lekarska została użyta dopiero w kilku przypadkach i trzeba ją jeszcze dokładnie sprawdzić przed zastosowaniem jej w skali masowej. Należy też dodać, że nie zamierzają stosować jej w celach kosmetycznych lecz jedynie dla leczenia ofiar poparzeń.

(B. K.)

MARK KASWINOW 23 STOPNIE W DÓŁ...

30 kwietnia - 17 lipca

Razem z przybyłymi do domu Ipatiewa weszli: przewodniczący Rady Uralskiej Bielorodow i jego zastępca Gołoszczekin, Bielorodow zatrzymał grupę, poprosił o uwagę i oznajmił, że decyzją rządu radzieckiego były imperator Mikołaj Aleksandrowicz Romanow i jego rodzina będzie mieszkał w Jekaterynburgu w tym właśnie domu, aż do dnia rozprawy sądowej.

— Komendantem domu — kontynuował Bielorodow, Rada Uralska mianowała Aleksandra Dymitrowicza Awdiejewa — oto on, stoi przed wami. Czy są w tej chwili jakieś skargi lub pytania? Nie... Jeśli będą w przyszłości proszę się z nimi zwracać do Rady za pośrednictwem komendanta Awdiejewa lub jego pomocnika Ukraincewa. A teraz obywatel Romanowowie mogą się rozlokować w domu według upodobania i wygody. Do ich dyspozycji jest większa część pierwszego piętra.

Wszystko to odbywało się

cego przed drzwiami pomiesz- czeń dla strażników. Wokół domu zbudowany jest bardzo wysoki płot z desek w odległości 2 sążni od okien; tam i w ogródku jest cały łańcuch strażników.

Bielorodow i Gołoszczekin wyjechali. Didkowski i Adwiejew razem z nowymi mieszkańcami przeszli po pokojach.

Było tu nie tak przestronnie jak w tobolskim gubernatorskim 18 pokojowym domu. Na całą rodzinę w domu Ipatiewa przypadały cztery duże i dobrze umeblowane pokoje. Ale też mniejszy się liczbą mieszkańców. Z całej grupy wysła- ni przez Kiereńskiego z Carskiego Siola latem 1917 r. zostało w końcu maja w ipatiewskim domu: siedmioro członków rodziny Romanowowych i pięciu usługujących (doktor Botkina, lokaj Troopp, pokojowa Demidowa, kucharz i kuchcik). Wbrew temu co piszą obecnie na Zachodzie stosunek do Romanowowych w domu Ipatiewa był w dalszym ciągu nie zmieniony. W pokojach na pierwszym piętrze zachowano podstawowe warunki komfortu. Porządek dnia zależał od uwielonionych, komendant i strażnicy respektowali ich życzenia. Romanowowie mieli zapewnioną opiekę lekarską — do dyspozycji dorosłych był dr Botkina, Aleksieja — dr. Deresienko, Czerwononarმიцей wielokrotnie chodzili do miasta, aby przewo- zdzić kapłana (przechodził np. now Starozów i odrabiał modły). Można zresztą zażyć w zapiski Mikołaj: „Jedzenie by-

nie ma ochoty wysłuchiwać hi- sterycznych krzyków.

Po tej interwencji doktor Botkin przystąpił do składania jej skargi. Sprowadzała się ona do żądania powrotu wszystkich („tobolskich”) służ, w liczbie nie mniejszej niż 30 ludzi. Jeśli Komitet Wykonawczy nie zgodzi się na jej prośbę, prosi o przekazanie skargi W.I. Leninowi, do Moskwy.

Wojkow odpowiedział, że nie zwiększy liczby służby, nie widzi takiej potrzeby. A skargę może przesłać do Moskwy — jeśli otrzyma ją na piśmie. Na tym incydent skończył się.

Niekiedy Aleksandra Fiodo- rowna demonstruje coś w rodzaju głodówki — wstaje od stołu nie tknąwszy jedzenia. W ten sposób już z góry zapew- niam swoim zachodnim biogra- fom możliwość kreślenia jej sylwetki jako męczennicy. Ale nawet wśród współczujących nie brak ludzi dalekich od zachwywania się jej osobą. Swoim postępowaniem przypominała żonę pruskiego generała, ciągle umysławiającą otoczeniu swo- ją wielkość.

Córki Mikołaj w ipatiew- skim domu wyglądają na zdro- we i ożywione, tak samo zresz- tą jak ich ojciec.

„Nie było widać — pisał by- li komendant — że ma się do czynienia z aresztowanym. Trzymał się z tak niewymuszona- łą swobodą. Nawet ze swia- dectw biatogwardyjskich i z zachowanych zdjęć okresu je- katezynburskiego absolutnie nie widać, że Mikołaj i jego córki są chorzy, zameczeni — nawet

nie wyglądają na zmęczonych. „Car na zewnątrz spokojny, codziennie wychodził z dziećmi na przechadzkę do ogrodu... Wy- glądał zdrowo nie zestarzał się, nie miał siwych włosów, zaś małżonka jego zaczęła siwieć i była chuda. Nigdy nie wychodziła do ogrodu, czasem tylko siadywała na werandzie. Dzie- ci zachowywały się zwyczajnie, uśmiechały się przy spotkaniach ze strażnikami. Rozmowy z nimi były zabronione. Jest bezsporne, że w czasie ich zam- knięcia w domu Ipatiewa nad- carem i jego rodziną nikt się nie znezał, nie ma też mowy o żadnym obrażeniu go”.

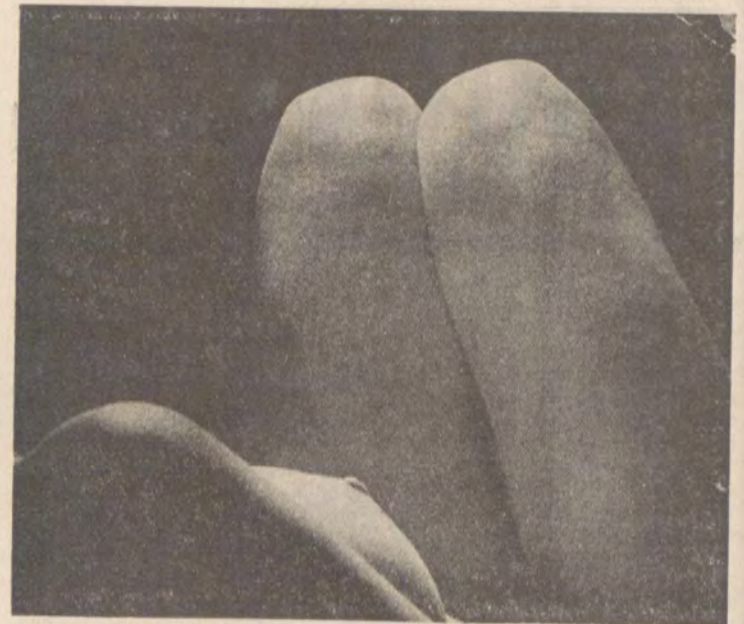
Wielu z tych, którzy go w tym czasie widywali, odniosło wrażenie, że Mikołaj skręca coś pod maską prostoduszności, chytry, podpatruje, i podslu- chuje, chce dokładnie wiedzieć, co dzieje się w jego otoczeniu. Przechadzając się po ogrodzie Mikołaj spostrzegł, że żołnierz ze straży, Miedwiediew zrywa liście i chowa je do kieszeni. Zainteresował się tym, podszedł i zaczął rozpytywać: „Po co to robicie? Dlaczego rwiecie?” Żołnierz odpowiedział: „Do pa- lenia, tytoniu nie ma” — „Na- prawdę?” — zdziwił się Miko- łaj i odszedł mrucząc coś pod nosem.

e.d.n.

Tłumaczył: MAREK WAWRZKIEWICZ

MAGAZYN

ODGŁOSY



Fot. J. Stankiewicz

Ciepłe przedwieczorne zachęcało do przebywania na powietrzu, toteż w cukierni Roszkowskiego były pustki. Większość gości przeniosła się na letnią werandę urządzoną na chodniku od strony pasażu Meyera. Kilka drzewek pomarańczowych, osadzonych w drewnianych kubbach i ustawionych obok werandy, imitowało ogródki.

Pod płóciennym daszkiem przy gesto rozstawionych stolikach bywały „Roszka” rządzili się wyśmienitymi lodami i gasili pragnienie chłodnym mazagranem. W kacie werandy na wprost wejścia siedział samotnie aktor teatru łódzkiego, Antoni Fertner, patrzeć znudzonym wzrokiem w ulicę, na którą z woina spływał zmierzach.

— Serwus, Antek!
Wask m przełściem pomiędzy stolikami przepychał się energicznie młody człowiek o czupurnym wyrazie twarzy. Na głowie miał słomkowy kapelusz, przkrzywiony na prawe ucho, a w ręku trzymał laseczkę ozdobioną srebrną gałką. Osobnikiem tym był znany z szerokiego gestu i ekstrawaganckich wyczynów trochę malarz, a trochę literat, Zygmunt Bartkiewicz.

— Jak się miewa Wołowski? — zwrócił się do Fertnera. Położył kapelusz na stoliku i przysiadł się do aktora.

— Nie udawaj frants! — wybuchnął Fertner. — Dyrektor wścieka się na ciebie. Ubiłeś mu Bartoszewskiego tuż przed samym spektaklem. Masz potęgie, co on wyrabiał po pianemu? Rozbił lampy i nie chciał nikogo wpuścić na scenę. Dwóch najtęższych aktorów musiało się na nim i szprycować go wodą sodową. Przedstawienie zaczęło się ze znacznym opóźnieniem.

— He, he, he! — śmiał się bacznie Bartkiewicz.
Na progu werandy stanął jedynak poeta i dziennikarz, Artur Gliszczyński. W gaszczeniu słów wpatrywał znajomych twarzy. Wreszcie dostrzegł uniesioną w górę rękę Fertnera. Ruszył w jego kierunku.

— Co słychać w „malarii”? — zagadnął Bartkiewicza, przysuwając sobie krzesło.
— Mniej więcej to samo, co w kramie Peraza, chociaż malarsko lepszej nieco zabawa dolni docel, gdyż wspierają je hołacy Zydzi. Kilku artystów-malarzy rozbiła się teraz po świecie za sprzedane obrazy. W Łodzi po-

zostało ich zaledwie paru, wśród nich znaczniejsi: Leopold Pilińchowski i Wacław Przybylski.
— A jak prosperuje Salon Artystyczny? Dużo kupujących?
— Diabla tam! — Bartkiewicz machnął lekceważąco ręką.

— Antoś, nie bądź naiwny — roześmiał się Gliszczyński. — Zygmunt zapominał nadmienić, że owa naga niewiasta była oprawiona w solidne dębowe ramy.
— A niechże cie... zymał się Fertner na Bartkiewicza.

— Stasiu, chodź do nas! — wołał Gliszczyński. — Przed chwilą był tu Bartkiewicz. Opowiedział nam świetny kawał.
— Zapewne o Siebeneichenie — zgadywał Książek, witał się z przyjaciółmi. — Miałem się z nim na ulicy.

— Z Siebeneichenem? — Fertner uśmiechnął się z uznaniem na Książka.
— Dajże spokój, z Bartkiewiczem! Pedził chyba do „Stepka”. Teraz już może sobie spokojnie popuhuć w dobranej kompanii bibosów. Pani Miecia rzuciła go i przeniosła się do Warszawy.

— Ale bomba! — wykrzyknął aktor, patrząc z uznaniem na Książka.
— Wiecie, co Bartkiewicz wykonał we własnym domu? — ciągnął dalej podekscytowany reporter. — Wracając późno z kolejnej birbantki, zazdrosny meżulek strzelał pod lózkę młodzieńkiej żony, opetało go bowiem chorobliwe podejrzenie, że tak ponętą kobietą musi mieć jakiegoś ukrywającego się w domu kochanka.

— Kapitalne! Ale skąd ty wiesz o tym? — Gliszczyński spojrzał uważnie na Książka. — Przysnął się, Stasiu, że wówczas byłeś ukryty w szafie u pani Mieci.

— Oczywiście, z reporterskiego obłazku — dorzucił złośliwie Fertner.

— Zartujecie, a ja mówię poważnie. Młodej małżonce nawet przez myśl nie przeszło, żeby zdradzać swego małżonka.

— Sądźcie tak chyba na podstawie własnego doświadczenia, ale to jeszcze niczego nie dowodzi — przekomarzał się poeta. — Powiadasz więc, że pani Miecia przeniosła się do Warszawy?
— Tak. Występuje tam w Teatrze Ludowym, jako Cwiklińska. Jest to nazwisko panięskie jej babki.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że Miecia zostanie aktorką — zauważył Fertner. — Dotąd nie wykazywała żadnego zainteresowania teatrem.

— Widocznie odżyły w niej rodzinne tradycje. Wszak jej dziadek, sławny Anastazy Trapszo, ojciec — Marcel Trapszo, ciotki — Tekla i Irena — wszyscy byli lub są aktorami i to znakomitymi — stwierdził Książek.

Zegar na pobliskim kościele świetokrzyskim wybił godzinę dziesiątą.
— Jak ten czas leci — zamruczał Gliszczyński.

WACŁAW PAWLAK NA WERANDZIE W PASAŻU MEYERA

Straszny pustka. Chyba zwinę będzie... Szkoda czasu na taki interes. Lepiej spędzić go w cukierni lub w knajpie w wesołym towarzystwie. Wspomnieliśmy o Przybylskim. Otóż w zeszytach czekając wieczorem idę Prom-nasą, a tu Waciu wychodzi spod pierwszego, dzwigając na ramieniu nagą kobietę.

— Coś podobnego! — ożywił się Fertner. — Całkiem naga?

— Goluśienka...
— Zapewne pijana modelka. W kamienicy pod pierwszym Przybylski ma swoją pracownię. Szkoda, że nie było przy tym Książka. Zaraz by to opisał w „Rozwoju” pod trupującym nagłówkiem: Naga kobieta na ulicy.

Zamiast zwozić ludzi, opowiedz lepiej jakiś dobry dowcip. — Czemu nie? Powiedzieć mi, jak się zwał pierwszy człowiek. — Wiadomo, Adam...
— Własnie, że nie. Siebeneichen!
— Co ty gadasz?
— A tak! Na Piotrkowskiej jest firma „Adam”, dawniej — Siebeneichen.

Nie czekając na reakcję słuchaczy Bartkiewicz chwycił kapelusz i nucąc modnego walca wybiegł na ulicę.

Upłynęło może z pięć minut, gdy na werandzie pojawił się reporter „Rozwoju”, Stanisław Książek. Na twarzy jego widniało podniecenie.

JACEK BROMSKI - STORY



Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90 950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie punkty pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 2917. U-4 Nr indeksu 37006/36762

POWIĘKSZENIA

ZLECENIA

Redakcja Programów Zleceń Telewizji nie przyjmuje zleceń na taki i dobre wychowanie. Niedawno zrealizowano reklamówkę dla Państwowego Zakładu Ubezpieczeń. Reporter wybrał się z kamerą do gmachu PZU stanął obok kolejki interesantów i zaczął zadawać pytania.

— Pan co tu zatawia?
— Matka mi umarła.
— Ile pan bierze?
— Trzy tysiące.
— No i co — pyta inteligentny reporter — Zadowolony pan z obsługi?
— Niestety pentet zachował zimną krew i nie dał reporterowi w dziób.

SPECJALIZACJA

Nasz czytelnik nadał wycinek z „Expressu Ilustrowanego”, w którym czytamy o pewnym trenerze piłkarskim, że „ukończył studia wyższe ze specjalizacją piłkarską”. Nasz czytelnik pyta, czy to żart.

Skądże znowu. Niedługo drużyny piłkarskie będą miały po trzech trenerów. Magistra od wykupu prawą nogą, doktora od górnych rogów i profesora nadzwyczajnego od wojeja i nakładek.

JAKA JEST HISZPANIA?

O Hiszpanii wiemy w Polsce co nieco. W szkołach także uczą o niej zarówno na lekcjach historii jak i na lekcjach zagadnień współczesnych. Zdumiało nas przeto, że licealista pewnej łódzkiej szkoły po miesięcznym pobycie w tym kraju mógł na antenie polskiego radia powiedzieć o Hiszpanii tylko to, że: „jest to rudołwa, rozśpiewane, kolorowe państwo gdzie wszyscy są zadowoleni i wszyscy się śmieją...”.

Młody licealista może rzeczywiście nie wiedzieć o tym (jest nie uważał na lekcjach), że Hiszpania nie ze wszystkim jest takim cudownym państwem, gdzie panuje radość i zabawa... Ale redaktor audycji mógłby nie duszać tego swiergotu na antenie. Po prostu dlatego, że to nieprawda i że głupie.

PODSIĘPNE PYTANIE

Ulubienica samurajów, znana gwiazda japońska Sama Taka znana jest w środowisku z zadawania kłopotliwych pytań. Ostatnio po kilku kielskich ryżówki zadała takie właśnie pytanie mózgowi elektronowemu. Zakłopotany mózg elektronowy zaczął drapać się w głowę i w rezultacie musiano go złomować. Okazało się potem, że pytanie było nie tylko kło-

ny o Zarządzie. Głównym bohaterem filmu jest członek Zarządu.

IDEALISTOM JEST GLUPIO

W pld. Szkocji grupa idealistów uparła się, że sfilmuje Opatrzność. Wysiłkiem idealistów przyglądała się ze spokojem i uśmiechem pobażania grupa materialistów, którzy doskonale wiedzieli, że Opatrzności sfilmować się nie da. Oczywiście okazało się, iż rację jak zwykle mieli materialści! Idealisci usitowali obrócić wszystko w żart ale było im głupio.

DUMNE PORÓWNANIE

Krytycy amerykańscy przyznali się ostatnio, że często chwalał słabe filmy, by sprawić przyjemność producentom oraz ich żonom. U nas żony nie mają producentów a krytyka nie jest po to, żeby komuś było przyjemnie.

SZCZĘŚCIE PANA SŁAWOMIRA

Pan Sławomir Z. udał się z narzeczoną do kina. Grano właśnie dramat wojenny, i widać było ile krwi, potu i niewygód kosztowało zwycięstwo. Przez cały czas trwania seansu narzeczoną pana Sławomira Z. głośno chichotała. Po wyjściu z kina zaniepokojony pan Sławomir Z. zapytał delikatnie narzeczoną, dlaczego zachowywała się tak niepoważnie na wychowawczym i smutnym przebiegu filmu. — „Chciałam — odpowiedziała z prostotą narzeczoną — byś wiedział, że nawet w najbardziej dramatycznych sytuacjach życiowych potrafisz zdobyć się na uśmiech...”. Pan Sławomir Z. ucałował narzeczoną i zrozumiał, iż jest ona jego prawdziwym szczęściem.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

potliwe ale i nieprzywzwoite. Brzmiało ono w swobodnym tłumaczeniu z japońskiego: „Skąd się biorą dzieci?”

TAJEMNICA FUTRZANEJ CZAPKI

Na posterunek MO w osiedlu im. Domów Ze Sztuki St. Zeromskiego zgłosił się samorządnie pewien osobnik w czapce futrzanej i złożył zeznanie, iż nie podoba mu się naleźycie filmowa adaptacja „Potopu”. Dyżurny funkcjonariusz zaawstydził osobnika w futrzanej czapce i za karę przepisał go ze znaków drogowych.

SMUTNE ALE PRAWDZIWE

Coraz większa fala filmów porno zalewa kina kapitalistyczne. Z protestami dzieci i młodzieży szkolnej nikt już się nie liczy. Ostatnio doszło do tego, że nakręcono film pornograficz-